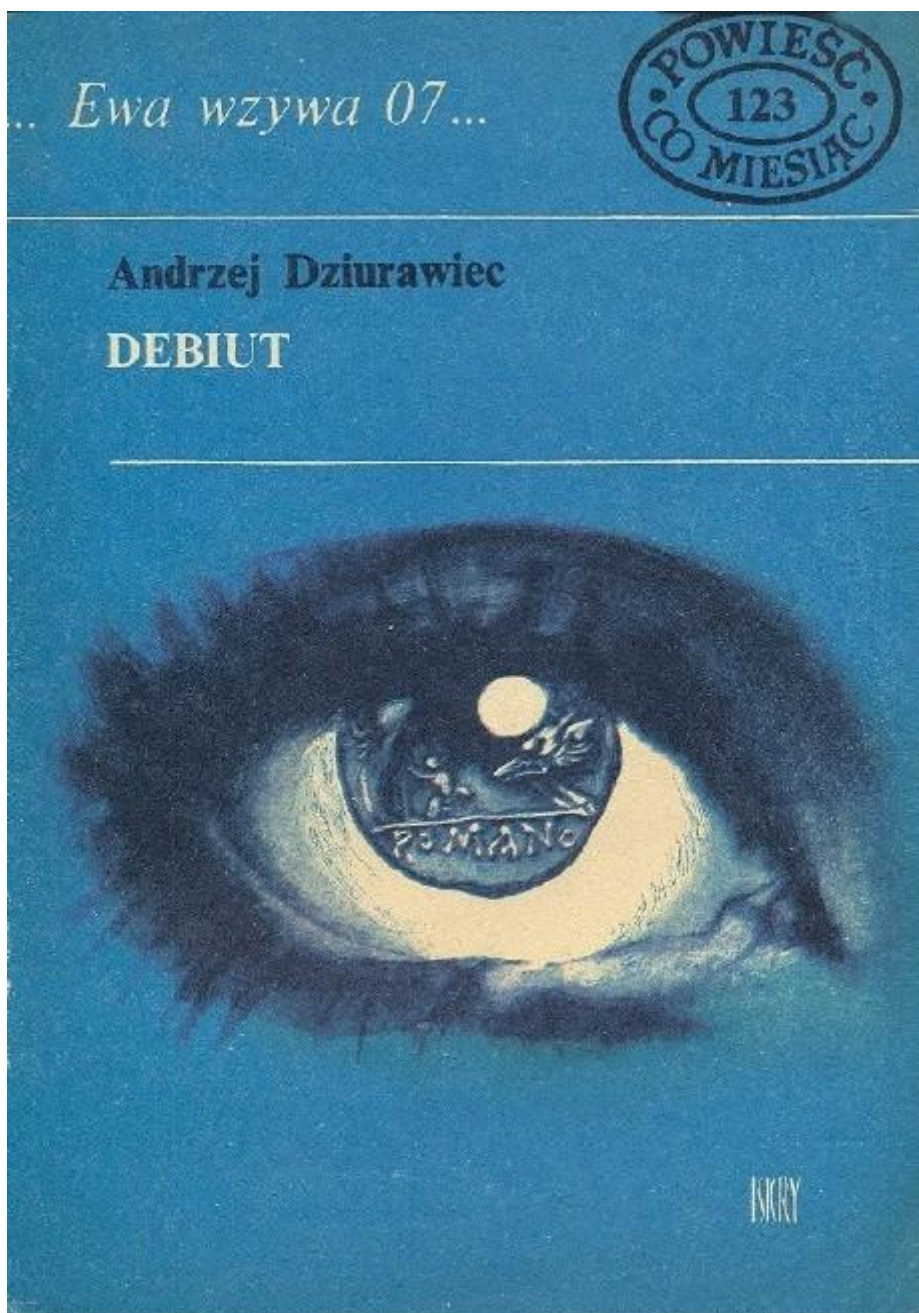


Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Andrzej Dziurawiec

DEBIUT



Technicy skończyli już swoją pracę. Wszelkie ślady były zabezpieczone, wszystko, co można było sfotografować, sfotografowane, plan sytuacyjny na papierze milimetrycznym sporządzony, ciało odwiezione do Zakładu Medycyny Sądowej. Gospośia raz jeszcze przeglądała wszystkie pomieszczenia uzupełniając spis skradzionych przedmiotów.

Zadra wyszedł przed dom. Grupka gapiów sterczała ciągle przed furtką, strzeżoną przez funkcjonariusza, którego wezwał do rozejścia się nikt jakoś nie brał do siebie. Zadra powiódł po nich roztargnionym spojrzeniem i sięgnął po kolejnego papierosa. A więc to jest jego sprawa... Nic dopuszczał do siebie nawet myśli, że może mu się nie udać. Zbył długo czekał na ten debiut. — Za kilka godzin będzie pan miał, poruczniku, odciski palców i zdjęcia. Resztę analiz każę panu dostarczyć, gdy tylko będą gotowe. Prawdopodobnie jutro rano. — Z zamyślenia wyrwał go głos kapitana Wawerko, szefa ekipy technicznej.

— Czy ma pan do mnie coś jeszcze?

— Nie, dziękuję, to na razie wszystko. Czekam na wyniki z laboratorium. To bardzo ważne.

— To zawsze jest bardzo ważne. Na razie, poruczniku, do zobaczenia.

— Do zobaczenia.

Kapitan wsiadł do samochodu. Zadra również postanowił się zbierać. Tutaj nie było już — przynajmniej na razie — nic do roboty.

Przywołał chorążego Barnycha.

— Jedziemy. Marku. Nic tu po nas. Przyrowadź tę gospośię, pojedzie z nami do komendy. Muszę z nią porozmawiać, i pospiesz się, nie mamy czasu do stracenia.

— A więc tak, Marku: skontaktujesz się natychmiast z Zakładem Medycyny Sądowej. Zenon mówił, że od denata zalatywało gorzałką. Musiał być chyba na niezłym rauszu. Od chwili morderstwa minęło już kilka ładnych godzin — ciało było zupełnie zimne — a fetor był wyraźny. Jak będą mieli wynik testu, niech mi go od razu przetelefonują. Zaznacz, że to bardzo ważne. Później skontaktujesz się z wydziałem gospodarczym, sprawdzisz, czy nic mają jakichś danych o zamordowanym. Był właścicielem sporego warsztatu samochodowego. Może zajmowali się kiedyś jego sprawami? Później weźmie się kilku ludzi i przeprowadzi wywiad wśród sąsiadów Stareckiego. Ślady wskazują, że ktoś wszedł do sypialni przez okno od ogródka. Musiał obejść pół domu. Może ktoś wracał późno wieczorem do domu, nie spał, cierpi na bezsenność i coś zauważył... Zresztą co ci będę tłumaczył, sam wiesz najlepiej, o co pytać. Aha — pogadacie również z dzielnicowym. To wszystko. Na razie. Melduj się, jak skończysz.

Kiedy chorąży wyszedł, a raczej wybiegł z pokoju, Zadra podszedł do okna. Otworzył je na całą szerokość i wciągnął głęboko powietrze. Orzeźwiający wiatr poruszał lekko żółknącymi już liśćmi drzew w Parku Krasińskich. Na zewnątrz było cicho, słonecznie i spokojnie. Miasto jeszcze drzemało w wakacyjnym letargu. Ale Zadra nie miał czasu na rozkoszowanie się pięknem dnia. Tym bardziej, że nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wtargnęła zdenerwowana nie na żarty pani Kortyś.

— Ileż można czekać, panie oficerze! Już pół godziny sterczę na tym korytarzu jak głupia jakaś. Druga dochodzi, a ja od świtu na nogach i jeszcze do tego...

— Najmocniej przepraszam — Zadra ujął dłoń gosposi ucałował szarmancko. — Mam nadzieję, że mi pani wybaczy. Musiałem wydać dyspozycje, rozumie pani, mamy teraz mnóstwo pracy, ale już jestem do pani usług.

Porucznik elegancko podsunął gosposi krzesło, jeszcze raz uśmiechnął się do niej najuprzejmiej jak tylko umiał i zajął miejsce po drugiej stronie biurka.

— Takie nieszczęście, panie poruczniku, takie nieszczęście. Człowiek nic może już być bezpieczny nawet we własnym mieszkaniu. Dobrze przynajmniej, że nie miał rodziny..

— Tak, rzeczywiście, pani Kortys. to bardzo przykra historia. A przechodzę do sprawy — proszę mi opowiedzieć przebieg dzisiejszego zdarzenia.

— Znaczy — jak to było? Jak odkryłam tę zbrodnię? To było tak: przyszłam na Notariuszowską, do willi pana Stareckiego, gdzieś tak koło dziewiątej. Zdziwiłam się, bo drzwi były otwarte. To znaczy zamknięte, ale tylko na klamkę. Weszłam do przedpokoju, jeszcze nic nie zauważyłam, chociaż poczułam się tak jakoś dziwnie, jakbym przeczuwała, że stało się nieszczęście. Drzwi do jadalni były otwarte — zajrzałam i aż mnie zamroczyło. Takiego bałaganu to w życiu nic widziałam. No to później zacięłam oglądać cały dom — wszędzie to samo. W końcu weszłam do sypialni pana... Leżał w piżamie aa podłodze, wokół głowy kałuża krwi — od razu było widać, że trup. Ja się już nieboszczyków w życiu naoglądałam, ale tym razem to myślałam, że zemdleję...

Pani Kortys nie była jeszcze nigdy przesłuchiwana i najwidoczniej nie miała zamiaru marnować tak znakomitej okazji. Zadra wiedział, że jeżeli chce się czegoś od niej dowiedzieć, musi pozwolić jej mówić. Westchnął z rezygnacją, co starsza pani poczytała najwyraźniej za oznakę wzruszenia, bo odpowiedziała mu również głębokim westchnieniem.. Przez chwilę w pokoju panowało milczenie. Przerwał je wreszcie Zadra.

— Jak długo pracowała pani u Stareckiego?

— Od ponad czterech lat. Nie, zaraz, zaczęłam przychodzić w lutym siedemdziesiątego czwartego, jakieś półtora roku przed śmiercią pani Stareckiej. Mówię panu, panie poruczniku, to było okropne. Taka młoda, piękna kobieta. Niczego jej nie brakowało, chyba tylko ptasiego mleka. Aż tu nagle taka historia... Musieli chyba strasznie nagrzeszyć. że ich Pan Bóg tak okrutnie pokarał. Najpierw pani, a teraz pan... — w oczach pani Kortys pojawiły się łzy. Wyjęła z torebki chusteczkę i mocno wytarła nos.

— A co się stało pani Stareckiej?

— Zabiła się. Któregoś dnia otworzyła gaz i już. Najgorsze, że nikt nie wie, dlaczego. Ludzie mówią, że głupia była, wie pan, nienormalna, ale kto to może wiedzieć.

— Czy pan Starecki miał jakąś rodzinę?

Zadra starał się tak dobierać pytania, by nie pozwolić Kortysiowej na zbyt odległe dygresje, ale nie bardzo mu się to udawało, gosposia nie dawała mu żadnych szans.

— Nie miał chyba. Ja w każdym razie nic o tym nie wiem. Ale nie dostawał żadnych listów od rodziny, nikt do niego nie przyjeżdżał... nie, chyba nie miał żadnej rodziny. Przychodzili do niego czasami różni tacy, ale to na pewno nie był nikt z rodziny.

— A kto do niego przychodził?

— No... znajomi, tacy różni. Jednego nawet znalazłam, mieszkał gdzieś niedaleko. Miał dziwne trochę nazwisko, takie zza Buga chyba, coś jak Jagiełło tylko na „m”, Magiełło się nazywał, czy coś podobnego

— Chwileczkę — Zadra wyjął z szuflady notatnik z telefonami zabrany z willi na Notariuszow-skiej i odszukał odpowiedni zapis. — Margiełło, czy tak?

— O właśnie, bardzo miły pan. Taki grzeczny zawsze, dowcipny, przychodził do mnie, do kuchni, śmiał się, żartował. Ci znajomi to na karty przychodzili. Czasami to całą noc grali, a dymili, aż strach pomyśleć. Jak się rano weszło, to jeszcze można by siekierę w powietrzu zawiesić- Ja nie wiem, czemu te chłopcy tak palą, przecie to tylko smród z tego — pani Kortyś spojrzała z naganą na wyjmującego z paczki kolejnego papierosa Zadkę. — Chociaż teraz to i kobiety nawet palą — kontynuowała. — Obraza boska. Ta, co do pana Stareckiego przychodziła, też paliła, raz to jej nawet powiedziałam...

— A kto to jest ta pani, która przychodziła do pana Stareckiego?

— A taka jedna... Kawecka się chyba nazywa, ale pan wołał na nią Bożenka.

Również i to nazwisko odnalazł Zadra w notatniku Stareckiego. Podobnie jak poprzednie, zapisał je w swoim notesie.

— Czy codziennie sprzątała pani u Stareckiego?

— Przychodziłam tylko w poniedziałki, środy i piątki. Posprzątałam, obiad ugotowałam i wracałam do siebie. Mieszkam niedaleko, na Barskiej, naprzeciw szpitala. pan porucznik wie gdzie to jest...?

Zadra kiwnął głową, że wie, ale pani Kortyś nie zwróciła nawet na niego uwagi, zabierając się do dokładnego opisanego swojego mieszkania, domu i sąsiadów. Tym razem jednak porucznik jej przerwał:

— To bardzo ciekawe, co pani mówi, ale widzi pani, mamy bardzo mało czasu, a ja chciałbym zadać jeszcze kilka pytań. O pani sąsiadach porozmawiamy może przy innej okazji. Dobrze? Niech mi pani powie, jak wyglądało to sprzątanie u Stareckiego? Co konkretnie tam pani robiła?

— No dobrze, już dobrze. Że też teraz tak się wszystkim spieszy. Ja tam tego nie rozumiem. Jak sprzątałam? Normalnie. Podłogi pomyłam, a raz na tydzień, w poniedziałek, to i pastowałam, kurze ścierałam, naczynia pozmywałam. Czasami małe pranie robiłam, bo co większe rzeczy to do pralni oddawałam. To wszystko.

— Dokładnie pani wycierała kurze?

— Ja, jak już co robię, panie oficerze, to robię dokładnie.

— Rozumiem. Ostatni raz była pani u Stareckiego w poniedziałek, właśnie wczoraj?

— Mówiłam przecież, że chodzę w poniedziałki, środy i piątki...

— A dlaczego przyszła pani dzisiaj, we wtorek?

— No bo pan obiecał, że mi suknie żony nieboszczki odda. Miały wisieć w szafie, mole je miały zjadać, to pomyślałam, że większy będzie pożytek jak je sobie wezmę. Trochę na siebie bym przerobiła, trochę sąsiadkom sprzedała. Poprosiłam pana, wczoraj właśnie, i pozwolił. Nawet samej wybrać kazał. No to i przyszłam dzisiaj i... — gosposi znowu zebrało się na płacz. Wyjęła z torebki haftowaną chusteczkę i głośno wysiakała nos.

— Proszę mi jeszcze powiedzieć, kiedy ostatni raz zmieniała pani pościel u Stareckiego?

— Wczoraj właśnie. Zawsze w poniedziałki zmieniam.

— A o której pani wyszła od Stareckiego?

— Chyba wpół do piątej było. Pan właśnie z warsztatu wrócił.

— Czy wybierał się gdzieś, że tak wcześnie wrócił?

— Mnie się tam nie opowiadał. Nie wiem.

— Czy może mi pani powiedzieć o Stareckim coś jeszcze?

— Niewiele więcej wiem. Zwierzać mi się nie zwierzał. Wiem, że zamożny był człowiek. Warsztat miał samochodowy na Okęciu, przy Alei Krakowskiej. Akuratny pan, solidny. Pieniążki zawsze w terminie mi wypłacał. A jak prosił, żebym przyszła w jakiś inny niż było umówione dzień, czy została dłużej, bo goście mieli przyjść i kanapki trzeba było zrobić, to zawsze parę groszy dołożył. Nie można powiedzieć.

— A często przychodzili goście do pana Stareckiego?

— Nie za często. W zasadzie to tylko ci od kart, raz na tydzień, w piątki, A tak poza tym to raczej nie, tylko co na imieniny pana, raz w roku trochę ludzi przyszło, a tak to nie. Ja w każdym razie nic o tym nie wiem.

Pani Kortyś nie wiedzieć czemu spojrzała na -Zadrę wojowniczo. Tymczasem porucznik wyciągnął z teczki podany przez Kortysiówą spis co cenniejszych przedmiotów skradzionych i mieszkania na Notariuszowskiej.

— Niech pani to jeszcze raz przejrzy; może się pani coś przypomni,

Kortysiówa założyła okulary i zaczęła czytać. Zadra wstał i spacerował po pokoju.

— Zdaje się, że wszystko tu jest. Chyba żeby ten plecak jeszcze, ale ja wiem, czy to takie wartościowe?

— Jaki plecak?

— Dziwny jakiś. Czerwony taki, z ortalionu chyba i na takim aluminiowym rusztowaniu czy czymś takim. Myłam go wczoraj, bo pan prosił. Pożyczyć go chyba komuś chciał, ale komu, to nie wiem.

— Gdzie był wczoraj ten plecak?

— Jak wychodziłam, to pan powiesił go na tym wieszaku w przedpokoju. Mówił, że nie ma co choać, bo ten ktoś niedługo przyjdzie, to go sobie weźmie. Pewnie przyszedł — bo dzisiaj już go nie było.

— No, to byłoby chyba wszystko. Dziękuję pani ślicznie. Jeżeli będą nam potrzebne jeszcze jakieś informacje, to pozwoli pani, że zwrócimy się znów do niej. Do widzenia pani — powiedział porucznik unosząc się z krzesła.

W pokoju było duszno i parno. Zadra zdjął marynarkę i rozluźnił nieco krawat. Znowu podszedł do okna. Wiatr wzmógł się wyraźnie. Najwidoczniej zbierało się na deszcz. Spojrzał na zegarek. Dochodziła trzecia. Powinni już mieć wynik tego testu — pomyślał. Zadzwoił do Zakładu Medycyny Sądowej. Rzeczywiście — Analiza była już gotowa. Stężenie alkoholu we krwi denata wynosiło niemal dwa promile. To dużo. Wprawdzie Starecki był dosyć potężnie zbudowanym mężczyzną i wyglądał na takiego, który może sporo wypić, niemniej trzeźwy to on tej nocy nie był na pewno. A więc morderca miał — najprawdopodobniej — znacznie ułatwione zadanie. Trzeba będzie sprawdzić, gdzie i z kim pił. W domu nie było żadnych śladów pijaństwa.

Czyli albo ktoś bardzo dokładnie posprzątał, albo Starecki pił poza domem.

Z Margiełłą, sąsiadem Stareckiego, który — jak się okazało — już wiedział o morderstwie, umówił się Zadra w „Słonecznej”. Sporo sobie obiecywał po rozmowie z tym bliskim — jak sądził — znajomym ofiary, dlatego też wolał przeprowadzić ją w nieco mniej oficjalnej atmosferze. Na miejscu był kilka minut po czwartej.

Duża, zaciemniona i przyjemna, chłodna sala kawiarni była niemal pusta. Zajętych było tylko kilka stolików w głębi, blisko małego podium dla orkiestry. Od jednego z nich podniósł się na widok Zadry mężczyzna średniego wzrostu i wieku oraz nieco większej niż przeciętna tuszy, ubrany z przesadną elegancją. Margiełło. Po chwili ogólnikowej rozmowy i wzajemnych rewerencji Zadra przystąpił do rzeczy:

— Pan był przyjacielem Stareckiego, prawda? Od jak dawna panowie się znali?

— Tak, byliśmy przyjaciółmi, to okropne... jeszcze w piątek byłem u niego na brydżu... — Margiełło zasepił się. Z jego twarzy znikł na stałe — wydawałoby się — przyklejony do niej uśmiech. Zapalił carmena, zaciągnął się nim mocno kilka razy i po chwili znowu zaczął mówić. — Poznaliśmy się dawno. Jeszcze przed studiami Jurka. Później ja poszedłem do wojska. Wyjechałem na kilka lat z Warszawy. Spotkaliśmy się znowu, kiedy już był żonaty i odnowiliśmy dawną przyjaźń. To było jakieś dwanaście lat temu. Poza tym mieszkaliśmy niedaleko siebie. Ja mieszkam na Sędziowskiej, parę kroków od Jurka.

— Proszę mi opowiedzieć o Stareckim. Jakim był człowiekiem? Z kim się — poza panem oczywiście — przyjaźnił? Czy miał wrogów? Wszystko, co uznaje pan za istotne. Nawet pozorne drobiazgi. Dobrze?

— Prawdę mówiąc nie rozumiem. O ile wiem, dokonano morderstwa na tle rabunkowym. Tak przynajmniej twierdziła gosposia Stareckiego, Kortysiowa. Nie wiem, czy osoba mojego przyjaciela ma więc z tym jakikolwiek związek...

— Nie chciałbym być niemiły, ale — wybaczy pan — to ja decyduję, co w tej sprawie jest istotne, a co nie. Jeżeli proszę pana o podanie tych czy innych informacji, proszę mi wierzyć, że nie robię tego dla zaspokojenia swej ciekawości...

— Rozumiem. Przepraszam... — Margiełło był nieco speszony. — Co by tu panu powiedzieć... — zamilkł na chwilę. — Widzi pan, to nie takie proste — określić w kilku słowach człowieka, którego znało się i z którym przyjaźniło się tyle lat. Starecki na pewno nie był przeciętnym człowiekiem. To była silna osobowość, był zamknięty w sobie, oschły, nawet szorstki w obejściu. Wie pan, że nawet kiedy wypił — a lubił wypić, szczególnie ostatnio — nie robił się wylewny. Wiele przeżył. Od małego był zdany tylko na siebie i może właśnie dlatego tylko sobie wierzył. Rodziców prawie nie pamiętał. Wychował się u obcych ludzi, na wsi. Nietrudno pojąć, że nie miał tam lekkiego życia. Później był w domu dziecka. Tam skończył szkołę. Dostał się na studia, zawsze był bardzo zdolny. Ożenił się z Ewą. To bardzo romantyczna historia. Była dziewczyną jego znajomego. Zobaczyli się pierwszy raz i pokochali. Miłość od pierwszego wejrzenia; rzadko się zdarza, ale tak było. Kochali się. Nawet bardzo. Do końca, do samobójstwa Ewy. Ale nie stanowili dobrej pary. To się musiało źle skończyć...

Chwilę niezręcznego milczenia, które zapadło po ostatnim zdaniu Margiełły, przerwał Zadra:

— Proszę mi teraz opowiedzieć coś o znajomych Stareckiego.

— Znajomych miał chyba sporo. Większości nie znałem, myślę że prowadząc interesy na pewno spotykał się z wieloma ludźmi, ale przyjaciół miał niewielu. Chyba że na jeden wieczór, po wódce. Mówiłem

już panu, panie poruczniku, że Starecki ostatnio bardzo dużo pił. Nie zawsze w najlepszym towarzystwie, a jeśli mam być szczerzy to najczęściej w najgorszym...

— Gdzie najczęściej pił? — przerwał Zadra.?

— Na Ochocie. „Kameralna”, „Magnolia”, „Raszyńska”. Tu zaczynał, a później to już jak się zdarzyło. Czasami „Pod Skrzydłami”, czasami w parku na Szczęśliwicach, a czasami w „Kongresowej” czy „Kamieniołomach”. Ale wracając do rzeczy — to najczęściej spotykał się chyba z nami, to znaczy ze mną, inżynierem Karym i Staszkiem Kieresiem. Stanowiliśmy stałą czwórkę brydżową. Graliśmy w każdy piątek. Prawie zawsze u mnie lub u Stareckiego.

— Wysoko panowie grali?

— Nie bardzo. Dziesięć złotych od punktu. — Widząc zdziwioną trochę minę Zadry dodał: — Niech się pan nie dziwi, że mówię: niewysoko. Wszyscy jesteśmy ludźmi dosyć zamożnymi, a poziom był wyrównany, przegrane nie przekraczały nigdy kilkuset złotych, no, chyba że czasami. W wyjątkowych przypadkach. W dłuższych Okresach wszystko się wyrównywało i wszyscy wychodziliśmy mniej więcej .na równo. Może tylko Kary był zawsze trochę do przodu.

— Kobiety?

— Miał powodzenie u kobiet, duże powodzenie. Leciały na niego jak — za przeproszeniem literaci na stypendium. Opędzić się nie mógł — po raz drugi w trakcie tej rozmowy porucznik wyczuł w głosie Margiełły jakąś dziwną, trudną do określenia, chyba trochę fałszywą nutkę. — Ostatnio spotykał się z taką młodą gąską. Poznał ją chyba tutaj, w „Słonecznej”. Zdaje się, że na imię miała Bożena. Nazwiska nie pamiętam.

— Wrogowie?

— Trudno mi powiedzieć coś konkretnego. Wydaje mi się, że nie miał wrogów. Na pewno wielu ludzi nic kochało go specjalnie, bo potrafił zaleźć za skórę, ale to chyba za mało, żeby zabić. Ja w każdym razie nic na ten temat nie wiem.

— Dłużnicy?

— O nie! To odpada. Jerzy miał żelazne zasady. Nie pożyczał. Do kilkuset złotych dawał i nie chciał słyszeć o zwrocie. Często stawiał wódkę, miał gest. Szczególnie po paru kieliszkach...

— Mówił pan, że Stareckigo wcześniej odumarli rodzice. Nie orientuje się pan, czy nie miał jakiejś innej rodziny?

— O ile wiem nie miał. Była jakaś rodzina żony, ale od czasu gdy owdowiał, kontakty się urwały.

— A ta rodzina? Kto to był? Gdzie mieszkają?

— Siostra Ewy. Matlarczykowa. Wyszła za kolegę Jerzego ze studiów. Mieszkają na Żoliborzu. Poznałem ich na pogrzebie Ewy, Ale, jak wspominałem, nie utrzymywali ze sobą ostatnio ściślejszych kontaktów.

— Rozumiem. Proszę jeszcze przejrzeć tę listę. — Zadra podał mu spis przedmiotów skradzionych u Stareckiego. — Może potrafi pan coś jeszcze tutaj dodać.

Przez chwilę czytał uważnie.

— Wydaje mi się... Tak, a co ze zbiorem monet?

— Jakich monet?

— Jerzy był numizmatykiem. Od wielu lat zbierał monety. Miał bardzo interesującą kolekcję. Wprawdzie gdzieś od roku przestało go to zupełnie bawić, ale wiem, że zdążył skompletować dosyć cenny zbiór.

— Czy orientuje się pan, ile to mogło być warte?

— Sporo. Dokładnie nie pamiętam już, co on tam miał, ale kilkaset tysięcy można by za to dostać. Na pewno. Jerzy mówił, że to znakomita lokata kapitału.

— Jeżeli pamięta pan jakieś konkretne okazy, to bardzo proszę dopisać do tej listy.

Okazało się, że Margiełło orientuje się nieźle w numizmatyce i potrafił wymienić sporo cennych pozycji ze zbioru Stareckiego. Kiedy skończył, podał Zadrze uzupełniony spis. Wystarczyło rzucić okiem, żeby przekonać się, że nie przesadził. Już tylko te monety, które wypisał, musiały być warte majątek.

— Bardzo dziękuję. To dla nas duża pomoc. Proszę mi jeszcze powiedzieć: czy orientuje się pan, kto mógł znać dobrze kolekcję Stareckiego?

— Nie wiem, ale sadzę, że nikt. Jerzy nie lubił się nią chwalić. O ile wiem, nie utrzymywał żadnych kontaktów ze zbieraczami. Nie należał nawet do związku.

Po wyjściu z półmroku kawiarni przez dłuższą chwilę musieli przyzwyczajać oczy do światła.

— Aha — porucznik zatrzymał jeszcze na chwilę Margiełłę — to tylko konieczna formalność. Co pan robił w nocy z soboty na niedzielę?

— Spałem W domu—bez uśmiechu odpowiedział Margiełło.

— Sam?

— Sam. Nie jestem żonaty. Mieszkam sam.

— Rozumiem. Dziękuję jeszcze raz i do widzenia. Gdyby przypomniał pan sobie coś ciekawego, nawet drobiazg, proszę dzwonić.

Śledząc odchodzącego Margiełłę zauważył Zadra, iż utyka on na prawa. nogę. Niezbyt mocno, ale jednak wyraźnie. Mimo to nie używał laski.

W komendzie czekał już na niego Barnych.

— Dobrze, że jesteś — Zadra przysiadł na brzegu biurka i próbował wysączyć ostatnią kroplę kawy ze szklanki, w której pozostały już tylko fusy. — Masz tam coś ciekawego? Dawaj.

— Chwileczkę, niech odsapnę. W tej chwili wróciłem. Język mi zeszywniał zupełnie — chorąży podszedł do syfonu, nalał pełną szklankę wody i wypił duszkiem. Powtórzył tę czynność jeszcze dwukrotnie. — No. teraz trochę Sępiej. Już mogę mówić. Więc tak: w gospodarczym nic o Stareckim nie wiedzą. Kontrolowali niedawno tamten rejon, jego warsztat również, i nic. Albo facet był czysty, albo taki sprytny. Ale raczej to pierwsze. Z wywiadu też nici. Obszedłem wszystkie domy naokoło. Rozmawiałem chyba z setką ludzi.-dowiedziałem się o wszystkim, co się tam zdarzyło od pierwszej wojny — nie uwierzy pan, poruczniku, jacy ludzie potrafią być gadatliwi, oszaleć można, zresztą Stachura i Michalak, co ze mną byli, naprawdę

już pod koniec zgłupieli. Michalak to nawet jednego staruszka w rękę pocałował. A więc o wszystkim, cholera, mówili ludziska, tylko nie o tym, co trzeba. Wszyscy grzecznie spali we własnych łózkach, nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Na wszelki wypadek podałem nasz telefon. Kazałem dzwonić, jakby komuś się coś przypomniało, ale nie wierzę, żeby coś z tego było.

— Rzeczywiście, dużo nie zwojowałeś. Może wieczorem pójdzie ci trochę lepiej. Starecki pił tamtej nocy. Obejdziecie z wywiadowcami knajpy. Spróbujcie się dowiedzieć: w której, z kim, ile, dlaczego, itd. Wszystko, co się da. Zaczniacie od Ochoty. Weźmiecie ze sobą zdjęcia naszego nieboszczyka. Życzę owocnej pracy. Ja teraz pójdę tutaj obok, posiedzę trochę, przejrzę szpargały, które zebraliśmy z Notariuszowskiej. Trochę tego jest. Zobaczymy się jutro. Przyjdę później, chcę skoczyć rano na Żoliborz do szwagrów Stareckiego. Ponoć to jedyna rodzina. Przyślijcie mi samochód na 7.30. No, bawcie się dobrze. Do zobaczenia jutro.

Przeszedł do pokoju obok, zaparzył sobie kawę i zagłębił się w niezbyt pasjonującej lekturze notatników z telefonami i adresami, kartek świątecznych, rachunków za światło i gaz i tym podobnych papierzysek. Kiedy wreszcie skończył, dochodziła dziesiąta. Był zmęczony, głodny i zły. Nie znalazł nic ciekawego. Nic, co mogłoby powiedzieć coś o tym człowieku, poza tym, że nie prowadził zbyt obfitej korespondencji. Dobrze przynajmniej, że zastał w domu Matlarczykową, której numer telefonu odnalazł w kalendarzyku i że umówił się z nią na rano.

Na Żoliborzu był kilka minut przed terminem spotkania z Matlarczykową. Mieszkała w nowym bloku, w standardowym M-3. Była sama. Dzieci nie mieli, a mąż wyjechał na Mazury, na wczasy.

Usiedli w fotelach przy niskim stolczku. Gospodyni podała herbatę. Była niezłe utrzymana, ponętą jeszcze blondynką, niewiele przed czterdziestką. Wyglądało na to, że nie przeżyła zbyt mocno śmierci szwagra. Przyglądała się porucznikowi 7. wyraźną aprobatą.

— Nie wiem, czy potrzebnie się pan do mnie fatygował. Obawiam się, że niewiele będę mogła panu pomóc. Ostatnio niemal nie utrzymywaliśmy z Jerzym stosunków.

— Proszę wybaczyć: dlaczego?

— Jak by to panu wyjaśnić?... Powodów było wiele. Wszyscy mamy teraz tyle spraw, żyje się tak szybko, nie bardzo jest czas na rozbudowane kontakty towarzyskie.

— Czy tylko to?

— Mówiąc zupełnie szczerze, to może nie tylko. Nie przepadliśmy za sobą. Szczególnie Krzysztof, mój mąż, nie znosił Stareckiego. Mnie był on raczej obojętny. Chociaż przyznam się, że od czasu, jak zaczął pić, a raczej jeszcze więcej pić, też z trudem go tolerowałam.

— Czy była jakaś specjalna przyczyna, dla której pani mąż nie znosił Stareckiego?

— Widzę, że pan wziął moje słowa zbyt serio. Mogę pana zapewnić, że Krzysztof nie zabił Jerzego. Nie miał powodu. Gdybyśmy chcieli zabijać wszystkich ludzi, których nie darzymy sympatią... Zresztą męża od tygodnia nie ma w Warszawie. Jestem słomianą wdową... — U" śmicznica się znacząco

— A dokąd mąż wyjechał? - - Zadra udał, że nic dostrzegł tego uśmiechu.

— Na Mazury. Mówiłam już panu wczoraj przez telefon.

— Tak, ale chciałbym jednak znać dokładniejszy adres.

— Niedaleko Pizzu. Ośrodek czasowy „Szuwary” nad jeziorem Roś — Matlarczykowa wzruszeniem ramion dała do zrozumienia, że uważa, iż takie wypytywanie nie ma sensu. Zadra nie zrażony kontynuował rozmowę.

— Wróćmy do poprzedniego pytania. Nie powiedziała mi pani, jaki był powód niechęci męża do Stareckiego.

— A bo czy to można powiedzieć, dlaczego się kogoś lubi czy nie lubi? Nic przepadał za nim i już. Zdaje mi się, że to jakiś stary uraz, jeszcze z okresu, kiedy studiowali na Jednym wydziale. Poza tym mąż uważał, że to” właśnie Jerzy jest odpowiedzialny za samobójstwo Ewy... mojej siostry. Zresztą ja też jestem tego zdania. Ot, takie tam ludzkie sprawy. W sumie nic ciekawego. Sam pan widzi, poruczniku, źć lulaj nie znajdzie pan zbrodniarza,

— Kiedy ostatni raz widzieli państwo Stareckiego?

— O, dawno. Chyba na pogrzebie Ewy właśnie. Później już prawie w ogóle. Widzieliśmy się raz czy dwa w mieście, w przelocie. Ostatni raz jakieś pół roku temu. Rozmawialiśmy ze trzy minuty, a może i tyle nawet nie. Ostatnio nasze kontakty ograniczały się do kartek świątecznych na Boże Narodzenie i Wielkanoc...

Nie bardzo wiedział, o co jeszcze pytać. Rozejrzał się po pokoju. Normalne, typowe umeblowanie. Regał, kanapa, dwa fotek i ława. Jedyne nie stereotypowe element to rozdzielona paszcza sporego szczupaka, wisząca nad drzwiami.

— To zdobycz męża? Ładna sztuka.

— Tak. męża. Ryby i samochód to jego pasja. Ponoć miał nawet trochę sukcesów w wędkarstwie. Nie znam się na tym, ale parę pucharów do domu przyniósł.

— Czy sądzi pani, że mąż mógłby mi powiedzieć coś więcej o Stareckim?

— Chyba nie. Znali się wprawdzie na studiach, ale to już tyle lat... Nie wydaje mi się by jakieś zdarzenia z tamtych czasów mogły mieć coś wspólnego ze śmiercią Jerzego... A jak on właściwie zginął?

— Został zabity we własnym domu. Równocześnie dokonano rabunku. A więc nie wie pani nic, co mogłoby — zdaniem pani — mieć dla nas jakieś znaczenie?

— Niestety nic. Przykro mi, ale mimo najlepszych chęci — uśmiechnęła się kokieteryjnie do porucznika — nie potrafię panu pomóc. Może napije się pan koniaku? Mam dobry, francuski.. Mąż przywiózł z delegacji.

— Dziękuję za zaproszenie, ale muszę już lecieć. Może będzie jeszcze kiedyś okazja — dodał widząc jak Matlarczykowa bez powodzenia stara się ukryć uczucie zawodu. Wiedział, że podoba się kobietom, zwłaszcza starszym od siebie. Imponowało mu to nawet trochę, ale nie zawsze było na rękę. czasami powodowało sytuacje wręcz kłopotliwe. Pożegnał się szybko, może nawet trochę zbyt szorstko i wybiegł.

Chorąży Barnych, czekający na niego w komendzie, był od samego rana w wyjątkowo dobrym nastroju.

— Czaić, Marczku. Co tam masz dla mnie ciekawego?

— Witam pana porucznika, znakomicie pan porucznik dzisiaj wygląda. Może kawy się pan porucznik napije?

— A dziękuję, napiję się. Ty też kwitniesz, nie można powiedzieć. Ale może w końcu dowiem się, co tam masz dla mnie, co?

— Jeśli nie liczyć raportu z laboratorium, ?wyników sekcji, odpowiedzi z Centralnego Rejestru Skazanych i tego, co przyniosłem z wczorajszego spaceru po knajpach...

Zadra popatrzył na niezmiernie z siebie zadowolonego chorążego, który siedział na biurku machając wesoło nogami, i roześmiał się szczerze.

— Widzę, że lubisz robić niespodzianki. Dobra, nie zgrywaj się już i referuj. Tylko krótko. Po kolei: laboratorium?

— Potwierdzili podejrzenie co do sposobu, w jaki morderca dostał się do pokoju. Z ogródka przez otwarte okno do sypialni. Wyszedł normalnie drzwiami. Poza tym znaleźli na pościeli denata kilka damskich, długich jasnych włosów. Grupa krwi: ARh -. Z nowych rzeczy to wszystko.

— Dobra. Sekcja?

— Uderzenia tęnym narzędziem o podłużnym walcowatym kształcie. Mogła to być jakaś rurka na przykład. Aha. bardzo ważne: uderzenia zadawano z wielką siłą. Mało prawdopodobne, żeby była to kobieta. Chyba, że jakaś kulomiotka. Morderca był wyjątkowo zajadły. Uderzył dziewięć razy, a już jeden z pierwszych ciosów był śmiertelny. W chwili ataku Starecki nie spał. Stał naprzeciw mordercy, ale chyba nawet nie próbował się bronić. Nie ma żadnych śladów walki,

— Czas zgonu?

— Między pierwszą a trzecią w nocy.

— Teraz mów, co wczoraj zwojowaliście.

— Nie mogę narzekać. Miła robotę nam szef nadał. Tak to rozumiem, można pracować.

— Do rzeczy Marku, do rzeczy...

— Starecki pił w poniedziałek w „Budapeszcie”. Pił, i to nieźle. Nie sam zresztą. Był w towarzystwie pewnej uroczej damy. Pani Bożeny Kaweckiej, lat 24, wykształcenie średnic. Nie pracuje. Z czego tyje. dokładnie nie wiadomo, ale żyje nieźk. Procederem się nie zajmuje.

— Jakim znowu procederem się nie zajmuje?

— No. prostytutką. Ale bawić to się bawi. Znają ją. Wczoraj też tam była. Porozmawiałem sobie o niej trochę. Wszystko wskazuje na to, że ona takich Stareckich miała kilku. Kręcił się koło niej cały czas taki jeden z podbitym okiem. W poniedziałek narwał się na jednego starszego, podpitego gościa, ale się mocno oszukał. Niech szef zgadnie, kto to był ten facet.

— Starecki?

— Starecki, panie poruczniku. Jerzy Slarecki. Zadra gwizdnął przeciągle.

— No, Mareczku, spisałeś się na medal. Zaproś tę panią do nas. Powiedzmy na dwunastą. Pogawędzimy sobie. A tak w ogóle, to — jak cię znam — nieźle się wczoraj zabawiłeś. Nieprawdaż?

— Grzech bym miał, jakbym narzekał. A obzarłem się, jak — nie przymierzając — szwedzki kapitalista w szczecińskiej „Kaskadzie”.

— Tak właśnie myślałem. Co tam jeszcze było... aha! Raport z Centralnego Rejestru Skazanych — coś ciekawego?

— Nie bardzo. Głównie ślady Stareckiego i Kortysiowej, trochę nie zidentyfikowanych, starych i niezbyt wyraźnych. No i ten Rzeszutko.

— Jaki znów Rzeszuiko?

— A, taki nieciekawy typ. Właśnie wyszedł po odsiedzeniu trzeciego wyroku. Trzy lata. Za włamanie.

— No wiesz! Trzeba było mówić od razu, na początku. Przecież to może być właśnie to... Każ go natychmiast szukać!

— Nie mogłem mówić od razu — Barnych nawet nie starał się ukrywać, jak niezmiernie jest z siebie zadowolony — bo zgodnie z regulaminem musiałem odpowiadać na pytania przełożonego. A co do szukania — załatwiłem to już ponad godzinę temu. Nie ma się co denerwować. Znajdą go na pewno.

— Już dobrze, dobrze — Zadrze udzielił się dobry humor chorążego — nic bądź taki cwaniaczek. Chociaż muszę ci przyznać, że pograłeś ślicznie. Jeden zero dla ciebie.

Do dwunastej było jeszcze trochę czasu. Przed przesłuchaniem Kaweckiej chciał wpaść do bufetu i wypić spokojnie kawę. Zadzwoił do kapitana Wałęckiego, jedyne go oficera w komendzie, z którym zdążył zawrzeć bliższą znajomość. Umówili się za pięć minut na dole.

Wałęcki w okresie startu Zadry w Warszawie sprawował nad nim coś w rodzaju „opieki pedagogicznej”. I chociaż przeszli już dawno na „ty”, a porucznik zdążył zdobyć sobie uznanie przełożonych — czego najlepszym dowodem było powierzenie mu śledztwa w poważnej bądź co bądź sprawie — to przecież coś z układu „mistrz-uczeń” w ich wzajemnych stosunkach jednak pozostało. Marcin cenił sobie bardzo sympatię kapitana i miał do niego zaufanie. Uważał go za fachowca z prawdziwego zdarzenia. A tylko o niewielu ze znanych sobie ludzi mógłby to z pełnym przekonaniem powiedzieć...

Kiedy Zadra pojawił się w bufecie, Wałęcki już czekał. Ostentacyjnie spoglądał na zegarek.

— Spóźniłeś się 43 sekundy. Mógłbyś wreszcie nauczyć się punktualności. Ostatnim razem kazałeś na siebie czekać prawie półtorej minuty...

— Masz rację. Absolutnie. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Od następnego razu będę przychodził przed czasem, chociaż to i tak nic nie da — ty zawsze przecież będziesz przede mną."

— Prawdziwy dżentelmen, mój drogi chłopcze, nigdy się nie spieszy i zawsze zdąża na czas. Nie przed czasem — to nie sztuka. Ale dość o tym. bo obawiam się, że w tej dziedzinie i tak nic z ciebie nie będzie. Powiedz mi lepiej, jak tam twój debiut.

Zadra zreferował w kilku słowach dotychczasowe wyniki śledztwa.

— Jak widzisz, niewiele tego na razie, jeśli nie liczyć tego Rzeszutki. Myślę, że do wieczora zdążę sobie trochę uzupełnić obraz tej sprawy.

— Nie byłbym tego taki pewien. Zbyt mało jeszcze wiesz? W dalszym ciągu musisz prowadzić śledztwo równocześnie we wszystkich kierunkach. Jak znam życie, to póki nic złapiesz nici na jakimś bazarze, w komisie czy u pasera, trudno ci będzie ruszyć z miejsca. Oczywiście kazałeś obstawić bazar, paserów, meliny i cały ten kram?

— Bez przesady, za kogo mnie uważasz? Oczywiście, że tak. Masz może jeszcze jakiś pomysł? Tylko tym razem bardziej oryginalny proszę.

— Już dobrze, więcej opanowania, chłopcze. A co do pomysłu, to zgłoś się, jak już będziesz coś wiedział. Pogadamy.

— I tym to optymistycznym akcentem... — Zadra wstał od stolika. — Muszę lecieć, za minutę będę już spóźniony.

Kiedy wrócił na górę, Bożena Kawecka czekała na korytarzu. Otworzył drzwi pokoju i przepuścił dziewczynę przed sobą. Usiadł na swoim miejscu i wskazał jej krzesło naprzeciw. Włączył magnetofon i rozpoczął przesłuchanie.

— Pani była przyjaciółką Jerzego Stareckiego, prawda?

— Można to i tak nazwać — Zadra zauważył, że ten temat przesłuchiwana przyjęła z ulgą. Widocznie obawiała się czegoś bardziej dla siebie nieprzyjemnego — pomyślał.

— Czy już pani wie o śmierci Stareckiego?

— Tak, wiem. Pan Margiełło był uprzejmy mnie zawiadomić.

— W jaki sposób zginął, wie pani również?

— Tak, wiem.

— Ale widzę, że nie przeżywa pani specjalnie śmierci swojego przyjaciela.

— To moja sprawa.

— Oczywiście. Ale wyciąganie wniosków to moja sprawa, a te mogą być pani nie bardzo na rękę.

— Widzi pan, panie poruczniku, to co łączyło mnie i Jerzego, trudno by było nazwać przyjaźnią. Lepsze byłoby stwierdzenie, że świadczyliśmy sobie wzajemnie usługi...

— Jakiego rodzaju usługi, jeśli można wiedzieć?

— Erotyczne. Niemal wyłącznie erotyczne. Widzi pan, Jerzy traktował kobiety jak zwierzątka seksualne. Ja go traktowałam na tej samej zasadzie. Znakomicie się zresztą do tego nadawał — dodała po chwili z niezupełnie jednoznacznym uśmiechem.

— Ale ten charakter państwa stosunków nic zmieniał faktu, że był ktoś, komu się one nic bardzo podobały...

— Myśli pan o Andrzeju?

— Proszę mi podać nazwisko i adres tego Andrzeja.

Zawahała się przez chwilę. Widać było, że straciła nagle swój tupet.

— Ale on nie ma z tą sprawą nic wspólnego...

— Bardzo możliwe. Może być pani pewna, że dokładnie to sprawdzimy. Jeżeli rzeczywiście nie ma, na pewno nie będzie miał żadnych nieprzyjemności. Proszę mi podać jego nazwisko i adres.

— Andrzej Stajszczyk. Mieszka na Bobrowskiego, dokładnego adresu nie pamiętam.

— Nie szkodzi, znajdziemy. Proszę mi powiedzieć coś więcej o panu Andrzeju. To pani chłopak?

— Trudno to tak nazwać. Znamy się bardzo długo. Spotykamy się od czasu do czasu.

— On się w pani kocha?

Nie odpowiedziała, tylko skinęła potakująco głową.

— Czy był bardzo o panią zazdrosny? Znowu kiwnęła głową.

— Proszę mi więc opowiedzieć, jak układały się stosunki między obu panami. .

— Prawie się nie układały. Niemal się nic znali Andrzej szukał z nim wprawdzie zaczepki, ostentacyjnie go bojkotował w towarzystwie, ale i Jerzy udawał, że go nie zauważa. Dopiero w poniedziałek... ,

— No słucham... Pobili się, prawda?

— Andrzej wstawił się trochę i zaczął ubliżać Jerzemu. Krzyczał na cały lokal, że Jerzy jest mordercą, że już zabił jedną kobietę, a teraz szykuje się na drugą. Nie wiem, co mu strzeliło do głowy...

Przerwała, bo do pokoju wszedł Barnych. Porucznik podał mu kartkę z nazwiskiem Stajszczyka.

— Każ sprowadzić mi tutaj tego pana. Jak najszybciej.

Chorąży wyszedł natychmiast,.. Zadra wrócił do przerwane go przesłuchania:

— Proszę dalej, słucham.

— Jerzy tego dnia sporo pił. Nie żałował sobie... Jak Andrzej zaczął krzyżeć, bardzo się zdenerwował. Zawsze był taki opanowany, nic widziałam, żeby się kiedyś uniół, a teraz się dosłownie pienił. A Andrzej jeszcze się stawiał. Chciał wyjść ze Stareckim i bić się. No to Jerzy z nim wyszedł. Wybiegłam za nimi, ale już było po sprawie. Jerzy raz tylko uderzył i starczyło. Andrzej upadł i nie bardzo już mógł się podnieść,

— Co było dalej?

— Jerzy otrzepał ręce i wrócił do środka. Andrzej już nie miał ochoty się bawić. Ubrał się i poszedł sobie.

— A później?

— Pojechaliśmy do Jerzego.

— O której byliście u niego?

— Nie pamiętam dokładnie. Było gdzieś koło wpół do jedenastej.

— A o której pani wyszła?

— Po jedenastej. Jak wróciłam do domu, była dwunasta. Ale dosyć długo czekałam na taksówkę.

— A dlaczego tak krótko była pani u Stareckiego?

— Pokłóciliśmy się.

— O co?

— To moja sprawa,— niespodziewanie zaczerwieniła się jak burak.

— Dobrze. Czy pamięta pani numer taksówki?

— Nie pamiętam.

— A markę?

— To było radiotaxi, fiat-combi, jasnoszary. Prowadził taki młody brunet. Bardzo rozmowny — dodała z przekąsem.

— Czy mieszka pani sama?

— Nie, z ojcem.

— Ojciec będzie mógł potwierdzić godzinę pani powrotu?

— Tak, myślicie, że tak. Nie spał jeszcze, kreślił. Jest architektem — powiedziała z odcieniem cumy.

— Proszę mi powiedzieć, jaką ma pani grupę krwi?

— Nie wiem, nie mam pojęcia — spojrzała na Zadrę zaskoczona.

— A kiedy była pani ostatni raz w szpitalu i gdzie?

— Rok temu, we wrześniu. W szpitalu dla nerwowo chorych w Pruszkowie. Byłam tam przez miesiąc. Miałam załamanie nerwowe... Ale co to ma wspólnego ze śmiercią Jerzego?

— To już by było wszystko — Zadra zostawił pytanie Kaweckiej bez odpowiedzi. — Dziękuję pani. Do widzenia.

— Do widzenia, panie poruczniku.

Chwilę później wrócił do pokoju Barnych.

— Przekazałem Stajszczyka Ochocie. A jak się panu, szefie, podobała Kawecka? Niezła, co?

— Taka sobie, jeśli mam być szczerzy. Chyba bałbym się z nią znaleźć na bezludnej wyspie. To mogłoby być niebezpieczne. Ale żarty na bok. Mamy trochę czasu. Zanim znajdą tego chłopaka, myślę, że warto by przejechać się do warsztatu Starcekiego, rozejrzeć się i pogadać z pracownikami.

Barnych pewnie prowadził samochód pogwizdując sobie jakąś melodię, a Zadra obserwował z przyjemnością zielony, podmiejski krajobraz. Przez moment wydawało mu się nawet, że jedzie sobie z kolegą na wycieczkę za miasto... Ale tylko przez moment. Rzeczywistość nie pozwalała o sobie zapomnieć.

Warsztat Starcekiego prezentował się okazale. Nie był wprawdzie duży, ale schludny, nucił się w otynkowanym na kremowo budynku, wyasfaltowany placyk z kilkoma samochodami i panujący wszędzie porządek robiły solidne wrażenie.

Zaparkowali fiata na placyku i wysiedli. Mężczyzna pochylony nad silnikiem jednego z samochodów spostrzegł ich, wyprostował się. wytarł dłonie w jakąś szmatę i podszedł.

Dzień dobry, o co chodzi? — zachowywał się dosyć pewnie, ale porucznikowi zdawało się, że jest ich wizytą znacznie bardziej speszony niż mogłoby to wyglądać na pierwszy rzut oka.

— Dzień debry panu. Porucznik Zadra z Komendy Stołecznej — przedstawił się Marcin. — Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci Jerzego Stareckiego. Chciałem z panem trochę porozmawiać.

Mężczyzna nie okazał żadnej reakcji na wiadomość o celu wizyty milicjantów. Wydawać by się mogło, że śmierć Stareckiego jest faktem od dawna mu już znanym i do tego zupełnie go nie interesującym. Jego chlebodawca został wczoraj rano zamordowany we własnym mieszkaniu, a on jak zawsze zjawił się rano w pracy i jak gdyby nigdy nic spokojnie wykonywał swoje codzienne obowiązki.

— Tak. słucham panie poruczniku.

— Pana nazwisko?

— Marzec. Antoni Marzec.- syn Stefana.

— Czy wiedział pan już o śmierci Stareckiego?

— Tak. jego gosposia, pani Kortyś, dzwoniła wczoraj.

— Rozumiem. Jak dawno pracuje pan u Stareckiego?

— Od sześciu lat. Zacząłem jak tylko otworzył ten warsztat.

— A czy znał go pan wcześniej?

— Nie, nu znałem. Pan Margiello. przyjaciel-pana Stareckiego, pokcił mnie.

— Czy utrzymywał pan ze Stareckim jakieś stosunku towarzyskie, poza warszatem?

— W zasadzie nie. Wypiliśmy parę razy wódkę — to wszystko. W domu u niego nigdy nie byłem.

Marzec spojrział Zadrze w oczy. Przez chwilę patrzyli na siebie, po czym Maracc znowu spuścił wzrok i stał czekając cierpliwie na następne pytania, bez najmniejszych nawet oznak zainteresowania.

Barnych, który przysłuchiwał się do tej pory rozmowie, postanowił przyjrzeć się nieco warsztatowi. Pochodził trochę po placyku, popatrzył na samochody, wszedł wreszcie do budynku, w którym znajdował się kantorek i mała hala z maszynami i pneumatycznym podnośnikiem.

— Czy ma pan jakieś podejrzenia? Może domyśla się pan, kto mógł zabić i obrabować pańskiego sześcia? — podjął Zadra.

— Ja tam nikogo nie podejrzewam — Marzec był spokojny, jakby lekko znudzony nawet. — Swoje robie i w cudze interesy nosa nie wtykam.

— Sam pan tutaj pracuje?

— Nie. Mam ucznia. Tam robi — wskazał budynek, do którego wszedł przed chwilą chorąży.

— Od dawna jest tutaj?

— Już ponad rok będzie.

— Proszę mi jeszcze powiedzieć, gdzie pan spędził wczorajszą noc?

— W domu, Z żoną i dziećmi. Przyszedłem o szóstej po południu, wyszedłem rano do pracy.

— Dobrze. Dziękuję. Zostawię numer mojego telefonu. Jakby się panu coś przypomniało, proszę zadzwonić. — Zadra podał mu kartkę, którą Marzec bez słowa schował do kieszeni. — Zajmijcie się swoją robotą. Ja się tu jeszcze rozejrzę. Do widzenia.

— Do widzenia — odpowiedział spokojnie majster, odwrócił się i jakby trochę ostentacyjnie wolno powrócił do przerwanej roboty.

Zadra zawołał Baraycha. Zlecił mu przesłuchanie ucznia, a sam postanowił zajrzeć do kantorku. Nie wiele tam znalazł. Jakieś rachunki, faktury, wyliczenia — wszystko, co powinno znajdować się w tego typu zakładzie i nic więcej.

Kiedy skończył. Samych czekał już w samochodzie. Zadra wszedł i wóz ostro, z piskiem opon ruszył.

— Jak uczeń?

— Wydaje się w porządku. Młody jeszcze i chyba niespecjalnie rozbawiony. Zastraszony jakiś taki.

— Alibi ma?

— Mówi, że był na weselu brata, Wrócił dopiero wczoraj.

— Zajmiesz się tym. Sprawdzisz jego i tego majstra.

— Zrobi się, szefie.

— Znalazłeś poza tym coś ciekawego?

. — Ni cholery. O przepraszam... — Barnych uderzył się lekko dłonią w usta;

— Nie przesadzaj, nic jestem panienką, no więc?

— Ano nic, specjalnie nie szukałem, tak na oko to wszystko w porządku. Chociaż...

— No... — zachęcił go porucznik.

— Coś mi tu śmierdzi. Zbyt porządnie tu wszystko... Warsztaty prywaciarzy to normalnie trochę inaczej wyglądają, nie? A ten majster też jakiś taki dziwny. Coś mi tu nie gra. A ja mam nosa. — Barnych uśmiechnął się chępliwie i dodał gazu. Licznik wskazywał ponad 120 km/godz.

— Zwolnij trochę, bo nas zabijesz. Szkoda by było tak młodo umierać.

Barnych zwolnił do setki, ale taki był przy tym roześmiany, jakby porucznik kazał mu jechać sportowym ferrari czterdziestką po pustej autostradzie.

W komendzie czekał już na nich Stajszczyk. Był najwyraźniej zdenerwowany tym nagłym wezwaniem. Zadra odprawił chorążego do wyznaczonej uprzednio roboty, wprowadził chłopaka do pokoju i bez żadnych wstępów rozpoczął przesłuchanie.

— Proszę mi opowiedzieć, tylko dokładnie, co pan robił w poniedziałek 21 sierpnia, od przyjazdu do „Budapesztu” do czwartej rano. Słucham.

— A o co chodzi? Dlaczego kazał mnie pan tutaj sprowadzić? Czy jestem o coś podejrzany?

— Jest pan przesłuchiwany w związku ze śmiercią Jerzego Stareckiego, zamordowanego we własnym domu w nocy z 21 na 22 sierpnia, jasne?

Chłopak zbladł. Przez moment nie mógł wydusić z siebie słowa.

— Ja nic o tym nie wiem. Ja z tym nie mam nic wspólnego. Dlaczego mnie w to wrabiacie?

— Jeżeli nie masz z tym nic wspólnego, to niepotrzebnie się denerwujesz. Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

— Więc przyszedłem do „Budapesztu”. Wiedziałem, że spotkam tam Bożenę z tym facetem. Chciałem jej otworzyć oczy. To był wyjątkowy skurwysyn, a ona patrzyła w niego jak w obraz.

ŁNie mogłem tego znieść.

— Dlaczego uważałeś, że Starecki był — jak się ładnie wyraziłeś — „wyjątkowy skurwysyn”?

— Przepraszam, wyrwało mi się...

— Nie szkodzi. Do rzeczy.

— Wystarczyło na niego spojrzeć. Panisko, cholera.:! Poza tym czy pan wie, panie poruczniku, co on zrobił ze swoją żoną?

— Co mianowicie?

— Zabił ją, zamordował... to znaczy niezupełnie sam. Ale tak się nad nią znęcał, że już nie mogła wytrzymać i popełniła samobójstwo.

— Interesujące. A skąd masz te wiadomości?

— Wpadłem niedawno, jakiś miesiąc temu, do „Kameralnej” na placu Narutowicza. Siedział tam Starecki z takim jednym małym, grubym, „Witek” do niego mówił, a kelnerka zwracała się do tego małego per „panie prezesie”. Nie poznał mnie. W ogóle nie zwrócił na mnie uwagi. Byli już obaj mocno podpici, Starecki może trochę mniej i kłócili się. Na ostro, nie tak, jak to się czasami kłócą pijacy. To znaczy dokładnie to ten mały ubliżał Stareckiemu, a ten nic nie mówił. Pił wódkę, patrzył w stół i nie odzywał się wcale. Dopiero kiedy tamten zaczął krzyczeć, powiedział mu, żeby się odpiardolił i coś tam zaczął mu tłumaczyć. Ale już nie słuchałem, bo wyszedłem. W każdym razie ten mały zarzucał Stareckiemu, że to przez niego popełniła samobójstwo jego żona, że znęcał się nad nią psychicznie i że ona była wspaniałą kobietą a on, to znaczy Starecki, nie potrafił jej nigdy docenić... Starecki mu odpowiedział: „Gównu wiesz, Witek, to było zupełnie inaczej” i coś tam mu jeszcze mówił, ale już chyba na inny temat, zresztą nie wiem dokładnie, bo zaraz wyszedłem.

— Dobrze. Wracajmy teraz do poniedziałku 21 sierpnia.

— No więc przyszedłem do „Budapesztu”, na dansing. Oni już byli. Siedzieli w jakimś większym towarzystwie znajomych Bożeny. Wypiłem parę wódek i zacząłem się koło nich kręcić. Poprosiłem Bożenę do tańca, ale ona odmówiła. Wypiłem jeszcze trochę i poszedłem powiedzieć temu ważniakowi, co o nim myślę. Mówiąc prawdę byłem już mocno wstawiony.

— I co było dalej?

— Ano wyszliśmy z knajpy i poszliśmy się bić. Tam z drugiej strony „Budapesztu” jest takie małe podwórko... No i co tu dużo mówić — naciąłem się. Fakt, że byłem pijany, ale na niego — myślałem — jesz-

cze starczy. Dał mi raz klasycznym sierpem i było po balu. Przybiegła Bożena i wrócili do lokalu. Ja posiałem sobie jeszcze chwilę na powietrzu, wróciłem, ale już tylko do szatni, do środka nie chciałem wchodzić z rozbitą mordą, ubrałem się i wyszedłem.

— Co robiłeś późnią?

— Powłóczyłem się trochę po mieście, poszedłem nad Wisłę, trochę położyłem, a później poszedłem „Do Hopfera” i siedziałem aż do zamknięcia. To znaczy gdzieś do piętnaście po dwunastej czy wpół do pierwszej. Mówiąc prawdę byłem już mocno zmęczony. Zdaje się, że mnie prawie wynieśli. Na ulicy zacząłem sobie chyba trochę śpiewać... Podjechał wasz polonez no i zwinęli mnie... Resztę tak mile rozpoczętego wieczoru spędziłem na Kótkiej, w „żłobku”. Za jedyne czterysta złotych. Nawet tania przyjemność, nie mogę narzekać...

— Jeżeli to prawda, a możesz być pewny, że wszystko dokładnie sprawdzimy, to nie będziemy cię więcej niepokoić w tej sprawie. Ale jeżeli kłamiesz...

— Jak Boga kocham, panie poruczniku...

— W porządku. Jesteś wolny.

Telefon do izby wytrzeźwień potwierdził alibi Stajszczyka. Biorąc pod uwagę czas zgonu Stareckiego młody człowiek nie miał żadnej możliwości dokonania zbrodni. To i dobrze — pomyślał Zadra, któremu trochę żal było tak niefortunnie lokującego swe uczucia chłopca. Przez chwilę zastanawiał się, co dalej. Do powrotu chorążego pozostało jeszcze trochę czasu. Po namyśle postanowił przejrzeć akta śledztwa w sprawie samobójstwa Ewy Stareckiej. Już kilka razy pojawiał się ten motyw w zeznaniach przesłuchiwanym i choć wydawało się, że te dwie śmierci nie mogą mieć ze sobą nic wspólnego, postanowił to sprawdzić. Kazał sobie przynieść te akta. Ale nie znalazł w nich wiele. Prowadzący śledztwo prawie nie zajmowali się przyczynami samobójstwa. Stwierdzili, że nikt nie ponosi winy, tak samo napisała w pożegnalnym liście Starecka i więcej nie szukali. Zresztą zebrane informacje nie wskazywały, że ktokolwiek mógł się do tego przyczynić. Przez chwilę zatrzymał się jeszcze nad fotografią Stareckiej. Tak, rzeczywiście była piękną kobietą. I niezwykle podobną do siostry, żony Mularczyka. Młodszą tylko i może odrobinę mniej wulgarną. Tak, podobieństwo było uderzające.

Dochodziła piąta. Zaczynał się denerwować, że nie ma jeszcze chorążego. Nie chciał spędzić nocy w komendzie. Mimo wszystko to już by była przesadna gorliwość — uśmiechnął się do swoich myśli.

Dopiero przed szóstą zjawił się Barnych. Był wyraźnie zmęczony.

— Widzę, że się trochę nabiegałeś — powitał go porucznik.

— Ano — wbrew swoim zwyczajom chorąży nie był zbyt rozmowny i nie przejawiał ochoty do żartów.

— Masz coś?

— Ni cholery. Majster z warsztatu i ten jego uczeń czyści jak łąka. Rzeszutki nadal nie ma. Jakby się pod ziemię zapadł. Pół dzielnicy go szuka, i jak na razie nic z tego nie wynika.

— No trudno, trzeba to będzie jednak podgonić, zajmiesz się tym, jak wrócisz z Pisu.

— Skąd?

— Z Pisu, mój drogi. A konkretnie z ośrodka „Szuwary” nad Rosiem. Ponoć jest tam szwagier Stareckiego. Sprawdzisz, co robił krytycznej nocy, czy miał szarce przyjechać do Warszawy. Tylko delikatnie.

Bardzo delikatnie. Wolałbym, żeby facet w ogóle nie wiedział, że ktoś o niego pyta. Najpewniej jest czysty i nie ma co psuć mu wczasów. Weźmiesz samochód. Wyruszysz jutro o piątej, na miejscu będziesz po ósmej, najpóźniej o dziesiątej zaczniesz wracać — czyli spotkamy się tutaj o trzynastej. Zgadza się?

— Jak w zegarku. Dosłownie — z przekąsem odpowiedział Barnych.

— Nie przejmuj się. Jak ostro przydusisz, to nawet zdążysz zamoczyć się w jeziorze. Powinieneś być mi wdzięczny.

— Rzeczywiście rozpieszcza mnie szef. Nie da się ukryć. Czy dzisiaj jeszcze coś będzie?

— Nie, jesteś wolny. Połóż się wcześniej spać. Musisz być jutro w dobrej formie.

— Dziękuję za dobre słowo. Do widzenia.

— Nie ma za co. Bywaj.

Przed' komendą stanął niezdecydowany. Nie chciało mu się wracać do swej nielubianej, choć wynajmowanej za prawie połowę pensji, kawalerki. Nie wiedział, co ze sobą począć. Po krótkim namyśle postanowi! pojechać na osiedle przy Filtrowej. Pochodzić trochę i pomyśleć. Liczył po cichu, że w tej spokojnej, choć niedawno zakłóconej okrutną zbrodnią atmosferze, potrafi usystematyzować zebrany dotychczas materiał i wyciągnąć jakieś wnioski.

Zmierzchało. Był ciepły, łagodny, bezwietrzny wieczór. Szedł wolno zadrzewionymi uliczkami osiedla przysłuchując się władającej tu ciszy. Machinalnie sięgnął po papierosa, ale zreflektował się i odłożył go z powrotem do paczki. Trzeba dać płucom trochę odpocząć — pomyślał. Najchętniej powłóczyłby się teraz po jakimś starym, nic rozdeptanym jeszcze lesie i nie myślał o niczym. Ale miasto nie pozwalało zapomnieć o tobie na dłużej.

Skończyły się zaciszne uliczki osiedla i znalazł się nagle na Trasie Łazienkowskiej. Smród spalin i warkot samochodów wyrwały go brutalnie z zadumy. Zszedł do podziemnego przejścia i wyszedł po drugiej stronie Trasy, na skraju Pól Mokotowskich. Postanowi! pospacerować jeszcze trochę — lubi! ten ogromny i niemal zawsze pustawy park. Z prawdziwą przyjemnością wałęsał się bez celu cichymi alejkami. Odpoczywał.

Z zamyślenia wyrwały go jakieś podniesione głosy. Znajdował się, jak uzmysłowił sobie po dobrej chwili, na cmentarzu żołnierzy radzieckich. Doszedł aż tutaj nie zdając sobie zupełnie z tego sprawy. Ale nie miał czasu myśleć teraz o tym. Czterech podchmielonych młodych mężczyzn w mało wyszukany sposób zabiegało o względy jakiejś dziewczyny, która bezskutecznie próbowała się od nich uwolnić. Dopiero po chwili ją rozpoznał. Tak, to była Kawecka. Chciała przyspieszyć kroku, ale otoczyli ją i nie pozwalali przejść.

— Nie tak ostro, sestro! Pogwarzymy, popalimy — jeden z typów podsunął jej pod nos zmiętą paczkę sportów.

— Dziękuję, nie palę. Ja naprawdę bardzo się spieszę. Niech mnie panowie puszcza. Bardzo panów proszę — mówiła błagalnie. Cała drżała. Widać było, że jest bardzo zdenerwowana.

— Ależ nikt cię nie trzyma, siostrzyczko. Jak gardzisz naszym towarzystwem — kompani mówiącego zarechotali głośno — to proszę, droga wolna... — mówił z charakterystycznym knajackim akcentem.

Próbowała odejść, ale jeden natychmiast zastąpił jej drogę. Wpadła na niego. Ten odsunął się i złapał ją beczelnie za widoczną w głębokim dekolcie pierś. Odskoczyła i uderzyła go w twarz. Pozostali zarechotali uszczęśliwieni.

— Nie kocha cię, Kropa, siostrzyczka, oj nie kocha... Żle działasz. Kropa, niedelikatnie. Z uczuciem trzeba, o tak — to mówiąc najniższy z napastników, baryłkowaty facet z wygoloną na zapalną głowę wsadził dziewczynie brutalnie rękę pod spódnicę. Nie mogła się wyrwać. Trzymał mocno szczerząc zepsute zęby w złym uśmiechu. Zaczęła histerycznie krzyczeć...

Zadra, który szedł już w ich kierunku, przyspieszył kroku.

— Myślę, panowie, że tej damie nie odpowiada towarzystwo panów i lepiej będzie, jeżeli nie będziecie jej zatrzymywać dłużej.

Przyglądali mu się, jakby zobaczyli nagle wielbłąda.

— Te, Kropa, co ten picuś pierdoli, bo ja jak Boga Kocham, nie wiem — wycedził „mały” patrząc mu prosto w oczy.

— Fe, jak pan się wyraża przy kobiecie. Nieładnie. Niech pan natychmiast przeprosi tą panią — wskazał na Kawecką, która przyglądała się całej scenie szeroko otwartymi oczyma nie mogąc głosu z siebie wydobyć.

— Te, figlarz... — tu wyjątkowo obraźliwie wypowiedział się na temat prowadzenia się matki Marcina — odjeb się, bo się rozeźle.

Stojący najbliżej niedwuznacznie położył Zadrze rękę na ramieniu.

— Weź synu tę rękę. bo ci ją złamię, a ty — wskazał na małego — miałeś zdaje się przeprosić tę panią...

Stojący najbliżej zamachnął się potężnie, ale Zadra był szybszy. Zrobił błyskawiczny unik, chwycił oburącz za rękę, którą tamten wciąż trzymał na jego ramieniu i wykręcił ją silnie, a gdy się zgiął, uderzył nią z całej siły o kolano. Rozległ się zwierzęcy ryk bólu. Zadra odskoczył a jego przeciwnik związał się na ziemi drąc się przeraźliwie. Pozostali trzej zaczęli, zbliżać się wolno do niego, próbując go okrążyć. W ręku jednego błysnęła brzytwa.

— Niech pani ucieka i wezwie milicję. I pogotowie ratunkowe dla tych panów — nie spuszczać wzroku z napastników krzyknął Zadra do dziewczyny, która powoli odzyskiwała władzę w nogach.

Nie kazała sobie owa razy powtarzać. Uciekała oszalała ze strachu. Rzucili się na niego. Odskoczył, kopiąc równocześnie w pierś tego, który stał za nim i zupełnie nie był przygotowany na odparcie tego ciosu. Opuścił ręce i próbował łapać oddech szeroko otwartymi ustami.

Wykorzystując moment zawahania Kropy i „małego”, podbiegł i uderzył kantem dłoni w te otwarte usta. Tamten padł jak ścięty. Z ust poląła się struga krwi. Pozostało dwóch. Teraz byli ostrożniejsi. Krążyli wokół niego czekając na sposobny moment Zaatakował pierwszy. Jednym susem był przy Kropie. Uderzył potężnym sierpem i poprawił, błyskawicznie zgiętą rękę, łokciem. Wtedy skoczył ten mały. Zamachnął się brzytwą, równocześnie Zadra chwycił nieprzytomnego już Kropę i zasłonił się nim. Mały nie zdążył zatrzymać ciosu. Jego brzytwa rozorała twarz kolegi. Oniemiał na ułamek sekundy. To wystarczyło. Nawet nie zauważył ciosu. Zadra stał nad nim szykując się do zadania ostatecznego prostującego haka, ale nie było już potrzeby. Z ust „małego” trysnął strumień wymiotów, a po chwili on sam uklęknął w nich, nie widząc i nie czując nic poza dławiącym cały organizm w paroksyzmach mdłości bólem.

Zadra nie odczuwał żadnej satysfakcji. Nie miał wyrzutów sumienia. Wiedział, że walcząc z kilkoma przeciwnikami jednocześnie trzeba iść na całość, że trzeba ich eliminować po kolei, bo jest to jedyna szansa — ale widok tych czterech działał przygnębiająco. Zapalił papierosa i zaczął oglądać ich, zastanawiając się, któremu najpierw i jak pomóc, kiedy przyjechało pogotowie, a po chwili milicja. Zaczęły się normalne w takich sytuacjach czynności i pytania. Kiedy wyjaśnił już wszystko, przyszło nagle odprężenie, a razem z nim potworne znużenie. W tej chwili myślał już tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się w łóżku. Został prowadzającemu wstępne dochodzenie adres i telefon do domu i do pracy i powlókł się w stronę Żwirki i Wigury, marząc o taksówce. Postanowił porozmawiać rano z Kawecką. Prawdopodobnie był to zupełny przypadek, ale...

Wiadomość, że odszukano wreszcie Rzeszutkę, właściciela linii papilarnych zidentyfikowanych w wili Stareckiego, podziałała na Zadkę elektryzująco. Dobrze zaczyna się dzień. Jeżeli doniec będzie równie udany... — myślał dopijając w pośpiechu poranną kawę, bo Rzeszutko był już na wartowni, doprowadzony z aresztu, w którym znalazł się za udział w jakiejś bójce.

Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie już widział tego człowieka. Zarówno twarz jak i sylwetka były mu znajome, ale nie mógł ich dopasować do żadnej sytuacji. Dopiero kiedy zwrócił uwagę na zwisającą bezwładnie na temblaku rękę aresztanta — skojarzył. Ten też widocznie go rozpoznał, bo cofnął się instynktownie do drzwi.

— Spokojnie, spokojnie Rzeszutko. Siadaj, pogadamy. Nie ma powodów do obaw — biję tylko w obronie własnej.

— Panie poruczniku, ja przecież nie wiedziałem, że pan jest— tym no... milicjantem — wykrztusił z siebie z trudem to słowo.

— A na nie milicjanta, to we czterech można, co?

Nie odpowiedział. Skulił się na krześle i spuścił głowę. Wyglądał jak ucieleśnienie dręczonej niewinności.

— No dobrze, ale do rzeczy. Czego chcieliście od Kaweckiej?

— Jakiej Kaweckiej, panie poruczniku?

— Nie udawaj głupiego, bo to się źle skończy...

— To niby tamta tak się nazywała... Nie wiedziałem, panie poruczniku, skąd mogłem wiedzieć.

— Nie znałeś jej?

— Nie, panie poruczniku. Szła przez park, podeszliśmy, pogadać tylko chcieliśmy, pożartować,..'

— Widziałem, jak te żarty wyglądały. Wiec nie widziałeś jej nigdy przedtem?

— Jak Boga...

— Dobra, dobra..., zostawmy to na razie. Ty zamordowałeś Stareckiego, czy twój wspólnik?

Spojrzał na Zadkę, jakby nie zrozumiał ant słowa ze zdania, które przed sekundą padło. Dopiero po dłuższej chwili dotarła do niego jego treść. Zbladł. Zacinając kurczowo dłonie próbował całą siłą woli zapanować nad sobą. Bez powodzenia.

— Nie wiem, o co panu chodzi — mówił zacinając się i z trudem artykułując słowa. — Ja nie dam się w to zrobić! — wykrzyczał zrywając się z miejsca.

— Siadaj i nie podnoś głosu. Zapal — podsunął mu paczkę papierosów i zapalki. Reszutko wyjął extramocnego i niezdarne próbował go zapalić drżącymi dłońmi.

— Zostaw to — Zadra podał mu ogień. — A teraz słuchaj. Na Notariuszowskiej znaleźliśmy twoją wizytówkę, oto ona — wyjął z szuflady odbitkę i rzucił na biurko przed przesłuchiwanym. — To wczorajsze zdarzenie i twoja przeszłość zupełnie wystarczają, żeby skierować sprawę do prokuratora. Zgodzisz się chyba? Jeżeli masz coś do powiedzenia, to mów zaraz, bo na żarty jest już niestety za późno. Rozumiesz?

— To przez nią to wszystko. Przez tę... — zdusił w sobie grube słowo. — Specjalnie mnie w to dziwka wrobiła. Nadała mi tę robotę, mówiła, że facet jest dziany. No to poszedłem...

— Sam? — przerwał Zadra.

— Sam. Zawsze sam chodzę na robotę. No więc poszedłem tam po ósmej. Facet miał już być w pracy. Wszedłem...

— Którędy?

— Normalnie, przez drzwi. Dla mnie to nie problem, zresztą nie były zamknięte, tylko na klamkę. Jak tylko wlałem, to od razu poczułem, że coś tutaj śmierdzi. No i rzeczywiście. Bajzel wszędzie taki, że głowa mała. Fachowiec by nigdy tak nie narozrabiał. Do wzięcia już nic nie było. Jak jeszcze spostrzegłem denata, to już wiedziałem, że to trefna robota. No to pomyślałem, że muszę sobie serdecznie porozmawiać ze słodką Bożenką...

— I co mówiła Kawecka?

— Nic nie mówiła. Głupią zgrywała, że niby o niczym nie wie. Bajer wślawiła. No to się rozeźliłem i jak ją wczoraj spotkaliśmy... Resztę już pan wie.

— To wszystko?

— Jak mamę kocham, panie poruczniku.

— W twoim przypadku to chyba nie jest najmocniejsze zakłęcie, ale mniejsza z tym. Co robiłeś w nocy z 21 na 22 sierpnia?

— To niby przed tą robotą? Zadra potwierdził skinieniem głowy.

— Grałem w pokera z chłopakami, nawet sporo wygrałem.

— Ile?

— Ponad cztery koła. Cztery dwieście.

— Podaj jeszcze nazwiska graczy i adres meliny.

Zadra zanotował te dane i zadzwonił na wartownika, by odprowadzono aresztanta.

Nie było jeszcze dziesiątej, ale upał doskwierał już mocno. Włączył wentylator i szerzej otworzył okno, lecz nie na wiele się to zdało. Powietrze było nieruchome. Liśćmi pobliskich drzew nie poruszał najmniejszy nawet podmuch wiatru. Zaczął spacerować po pokoju próbując usystematyzować jakoś nowe wiadomości, ułożyć plan dalszych działań. Przerwał mu natarczywy dźwięk telefonu. To sekretarka majora

podekscytowanym głosem prosiła, by natychmiast zjawił się u szefa. Nie wiedział, o co chodzi Ślepakowi. Przecież rozmawiali jeszcze wczoraj — składał mu meldunek z aktualnego stanu śledztwa — a od tego czasu nie mogło się chyba zad rzyć nic istotnego.

Pani Wanda powitała go promiennym uśmiechem.

— Niech pan szybko wchodzi. Szef czeka już pół godziny. Ale zdaje się, że jest w dobrym humorze.

— Dziękuję pani — Zadra odwzajemnił uśmiech sekretarce i wszedł do gabinetu majora. Stępak przechadzał się szybkim krokiem po pokoju.

— No, jest pan nareszcie. Proszę siadać — wskazał mu fotel przy małym stoliku do kawy. — Niech pan to czyta — podał mu kilka kartek maszynopisu. — Zaraz dostaniemy kawę.

Major wyszedł na chwilę a Zadra zagłębił się w lekturze. Komenda w Zegrzu donosiła o wyłowieniu z zalewu, kilka kilometrów za miastem, plecaka z przedmiotami, których opis odpowiadał opisowi rzeczy skradzionych w domu na Notariuszowskiej.

— No i jak się to panu podoba? — Stępak sam przyniósł kawę, postawił ją na stoliku i usiadł obok porucznika.

— To zupełnie zmienia obraz sprawy. — Tak... to zupełnie zmienia obraz sprawy. Tym bardziej, te przesłuchiwałem dzisiaj, dosłownie przed chwilą, włamywacza, który był na Notariuszowskiej we wtorek rano, już po morderstwie, i twierdził, że robotę nadała mu Kawecka... A do tego w tym piśmie nie ma przecież zbioru monet Stareckiego. Tak, to już coś jest...

Nie musiał długo czekać na Barnycha. Zjawił się kilka minut przed drugą. Nie trzeba było być specjalnie wytrawnym obserwatorem, żeby spostrzec, jak bardzo jest zmęczony.

— Świetnie że jesteś, Marku — powitał go Zadra. — Jak się czujesz?

— Tak sobie, jeśli mam być szczerzy.

— Masz coś ciekawego z tym Matlarczykiem?

— Tak, szefie. Możemy sobie darować gościa. Ma niezbite alibi. Całą noc przesiedział na rybach, w łódce, na środku jeziora. Pół turnusu go widziało. Akurat był wieczorek zapoznawczy, szwendali się ludziska nad wodą. Mało tego. Dozorca ośrodka, niejaki Chlapocz, łapał niedaleko i też zapamiętał tę noc, bo o świcie Matlarczyk postanowił się wykąpać i facet się wkurzył, że mu gość wszystkie ryby wypłoszy. Jak szef widzi, nie było tam czego szukać.-

— Dobre i to. Zawsze o jednego kandydata mniej. Bo muszę ci powiedzieć, że tu się tymczasem sporo zdarzyło. Jesteś głodny?

— Jeszcze jak. Terminy miałem dosyć napięte...

— Już się nie skarż. Chodźmy na obiad, to opowiem ci wszystko.

— I co o tym sądzisz? — zapytał Zadra, kiedy znaleźli się znowu u siebie.

— Wygląda na to, że ta cała kradzież to kamuflaż. Chodziło chyba o coś zupełnie innego. Trudno wy-czuć, co tu jest grane. Poczekajmy na wyniki z laboratorium, może coś tam wykombinują z tym plecakiem.

— No właśnie. Skontaktuj się z nimi. Później sprowadź tutaj gosposię Stareckiego, niech przyjrzy się temu naszemu znalezisku. Wpadnij też do drogówki — weźmiesz od nich wykaz osób kontrolowanych tamtej nocy i we wtorek przed południem na tracie Warszawa — Serock. W raporcie z Zegrza jest napisane, że nie znaleziono tam żadnych śladów i że we wtorek o jedenastej nastąpiło na tamtym terenie oberwanie chmury. Znaczyłoby to, że plecak ukryto, wcześniej i że woda zatarła ślady. Ja tymczasem napiszę raport do prokuratury i spróbuję sprawdzić, co dzieje się z Kawecką, czemu się nie zgłasza. Trochę zbyt długo już to trwa. Bywaj. Do jutra.

Pracował niemal do zmierzchu. Był już solidnie zmęczony. Poskładał papiery, zgasił dopiero co zapalony papierosa i ruszył do wyjścia. Marzył o kąpieli i dobrej książce. Od drzwi zawrócił go telefon. Laboratorium meldowało, że ukończono już badania plecaka wyłowionego pod Zegrzem. Z analizy wynikało, że musiał leżeć w wodzie dwie do trzech dob. Natrafiono jednak na ciekawe mikroślady. Do jednego z zamków przychepione były małe drobiny grzybni rydza. Stosunkowo świeże.

Dźwięk dzwonka usłyszał już na klatce schodowej. Błyskawicznie otworzył drzwi i podbiegł do telefonu.

— Tak słucham, Zadra.

— Dobry wieczór panu, Marzec mówi. Pamięta mnie pan?

— Tak oczywiście, pan pracuje w warsztacie Stareckiego. Słucham pana.

— Prosił pan, żeby zadzwonić jak mi się coś przypomni, więc...

— Tak, proszę bardzo.

— Przeglądałem dzisiaj jeden wóz, który jest u nas na warsztacie, nie wiedziałem czy jest już gotowy, no i znalazłem coś ciekawego.

— Słucham pana.

— W tym wozie była zamajstrowana bardzo sprytna skrytka w desce rozdzielczej. Jak przekręcić w lewo zapalniczkę, to się otwiera. Nie jest to fabryczna robota. Nie widziałem nigdy czegoś takiego, a pan mówił, że wszystko może być ważne, więc pomyślałem, że zadzwonię i powiem. Co mi szkodzi.

— Bardzo dobrze pan zrobił. Proszę zamknąć ten samochód i do jutra nie przy nim nie robić. Przyślę tam kogo, żeby to sobie obejrzał. Jakby się zgłosił klient, proszę powiedzieć, że wóz jeszcze nie gotów. Zgoda?

— Zrobi się, poruczniku. To nie problem, przecież. Czy jeszcze coś?

— Proszę mi powiedzieć, kto jest właścicielem tego samochodu?

— Kary. Inżynier Kary, panie poruczniku.

Inżynier Kary był mężczyzną szczupłym, wzrostu nieco ponad przeciętnego. Miał krótko ostrzyżone, nieokreślonego koloru włosy, lekko siwiejące na skroniach i zdradzającą nieprzeciętną inteligencję twarz. Nie zdziwiła go zupełnie ta spóźniona nieco i nie zapowiedziana wizyta. Serdecznym ruchem zaprosił porucznika do środka. Mieszkał w niedużym, dwupokojowym mieszkaniu, którego urządzenie dobrze świad-

czyło o guście gospodarza. Przedstawili się sobie i usiedli w głębokich fotelach przy małym secesyjnym stoliczku, wyglądającym na autentyk.

— Czego się pan napije, panie poruczniku. Whisky? Koniak? Może kawa?

— Jeżeli pan laki uprzejmy, poproszę kieliszek koniaku. Za kawę dziękuję, przed chwilą piłem.

Kary rozlał do pięknych, rźniętych kryształowych kieliszków martela. Poczęstował Zadrę carmenem, ale ten wolał swojego extra-mocnego.

— Domyśla się pan zapewne — zaczął Zadra — w jakiej sprawie przychodzę. Chodzi o śmierć Stareckiego. Pan był jego przyjacielem, prawda?

— Nie nazwałbym tego przyjaźnią, ale byliśmy na pewno dobrymi znajomymi. Ze Stareckim dosyć trudno było się przyjaźnić.

— Czy Starecki miał jakichś wrogów? Czy był ktoś, kto mógł mu życzyć śmierci?

— Wrogów chyba nic miał. Nie lubiło go sporo osób. Mówiąc między nami to trudno go było lubić. Trzeba było mieć dużo dobrej woli. Ale nie sądzę, żeby ktoś mógł mu tak bardzo życzyć śmierci, ażeby aż zrealizować to życzenie. Ja w każdym razie nikogo takiego nie znam.

— Ktoś jednak pomógł mu przecież odejść z tego świata. To jest fakt.

— Tak, ktoś mu pomógł... Wie pan, panie poruczniku, przyznam się panu. że spodziewałem się śmierci Stareckiego. Może „spodziewałem się” to za mocno powiedziane, ale jakoś podświadomie oczekiwałem jej. W każdym razie ta wiadomość nie zaskoczyła mnie...

— Proszę, niech pan mówi...

— Jerzy, widzi pan, od pewnego czasu opanowany był obsesją śmierci. Jak pewnie panu już wiadomo, ostatnio dużo pił, nawet bardzo dużo. Czasami towarzyszyłem mu. Lubilem z nim wypić. Otóż zawsze po wódce mówił o śmierci. Twierdził, że długo już nie pociągnie... i rzeczywiście, A przecież, o ile wiem, nie był chory. Był jeszcze stosunkowo młody i jak na tyle wódki, ile on w życiu wypił, wyjątkowo silny.

— Czy wie pan, skąd się wzięła u niego ta obsesja śmierci?

— Wydaje mi się, że coś się w nim załamało po śmierci żony. Bardzo to przeżył, chociaż, jak to on, nie pokazał po sobie niczego. Obciążał się winą za jej śmierć, może nawet nie bez racji...

— Czy ktoś z waszych wspólnych znajomych kochał się w Ewie Stareckiej?

— Na pewno Margiełło. Przyznam, że ja także byłem nią zafascynowany. To była niezwykła kobieta. Tylko ten dureń tego nie widział! Traktował ją jak kuchtę! A ona świata za tym chamem nie widziała.

— Te miłe słowa, to — rozumiem — pod adresem Stareckiego?

— Przepraszam. Uniosłem się.

— Nie szkodzi. Chciałem zadać panu niedyskretne pytanie. Ile pan zarabia?

— Nie rozumiem...

— Nie musi pan. Proszę odpowiedzieć.

— Sześć tysięcy plus trzy tysiące funkcyjnego plus 15% premii.

— Rozumiem, że w sumie jakieś to tysięcy miesięcznie. Czy tak?

— Owszem, mniej więcej tyle.

— I to wystarcza panu na takie meble? Samo to — Zadra wskazał na stoliczek, przy którym siedzieli — warte jest chyba kilkanaście tysięcy...

— Nawet więcej, Desa wyceniła na 38 — przerwał mu Kary, słuchając z ironicznym uśmiechem.

— No właśnie. Do tego samochód i nie najoszczędniejszy chyba tryb życia. Skąd pan bierze na to pieniądze?

— O ile się orientuję w procedurze karnej, a troszeczkę się orientuję, nie muszę odpowiadać na 10 pytań. Nie jestem przesłuchiwany jako podejrzany — nie zostały mi przedstawione zarzuty, prawda, panie poruczniku?

— W ten sposób utrudni pan dochodzenie... — z niezbyt pewną miną powiedział Zadra.

— Niech pan nie żartuje. Już mówiłem, że trochę się orientuję w procedurze karnej, o karnym materialnym też mam trochę pojęcia. Ale nie będę się z panem bawił w chowanego. I tak byście doszli, a zabrałbym wam tylko czas. A mnie naprawdę zależy, żebyście znaleźli zabójcę Jerzego. Nie będę więc wam, jak to pan porucznik określił, „utrudniał dochodzenia”. Pieniądze mam z gry w karty. Jak to się mówi — „brydż chleb ciężki, ale pewny”. A ja gram nie najgorzej. Jak będzie pan miał ochotę na roberka, służę z przyjemnością.

— Dziękuję. Może kiedyś skorzystam. Dlaczego kazał pan sobie zrobić skrytkę w samochodzie?

— Ach, rozumiem teraz, skąd to poprzednie pytanie. — Kary roześmiał się. — Pan podejrzewa mnie o jakieś nieczne kombinacje, tymczasem prawda, jak to najczęściej bywa, jest banalna. Jestem, widzi pan, bardzo roztargniony, a często przewożę samochodem ważne dokumenty służbowe. Dwa razy już mi okradziono wóz. Na szczęście nic z tych papierów nie zainteresowało złodziei. Gdyby coś z tych rzeczy, zginęło, miałbym bardzo poważne nieprzyjemności. Jerzy po starej znajomości obiecał zrobić mi skrytkę. Ot i cała tajemnica. Nic nadzwyczajnego.

— Proszę, mi podać daty tych kradzieży.

— Widzę, że pan porucznik mi nie ufa. — Kary podszedł do stojącego obok misternej roboty sekretarzysty i odszukał w jakimś notatniku żądane przez Zadrę daty.

— Nie wie pan, czy Starecki zostawił testament?

— Na pewno nie wiem, ale myślę że tak. Prosił niedawno, żebym polecił mu jakiegoś adwokata. Myślałem, że chciał spisać testament.

— Polecił mu pan.

— Tak, mecenasa Wardę. Ale nie wiem, czy się z nim skontaktował, czy nie. Nie poruszaliśmy więcej tego tematu.

Zadra zapisał adres i telefon adwokata.

— Teraz taka sprawa. Nie orientuje się pan, który ze znajomych Stareckiego chciał pożyczyć od niego plecak?

— Tak, wiem. Przypadkiem słyszałem rozmowę. Kieres mował, że jego syn wybiera się w góry i pytał Jerzego, czy nie ma czegoś odpowiedniego... Ale nie rozumiem, jakie to może mieć znaczenie?

— Kiedy to było?

— W piątek, na ostatnim brydżu. Wtedy zresztą ostatni raz widniałem Jerzego.

— I jeszcze jedno pytanie, jeżeli pan pozwoli. Ostatnie...

— Co robiłem w nocy z 21 na 22 sierpnia? — Kary przerwał porucznikowi.

— Właśnie.

— Mam dla pana miłą wiadomość, panie, poruczniku. Nie mam alibi. Byłem u znajomych na Dobrej. Grailiśmy w brydża. Wyszedłem od nich po dwunastej. Była ładna pogoda, więc poszedłem do domu na piechotę. Nie pamiętam, o której byłem w domu. Ciec otwierał mi bramę, może on pamięta.

Do pracy postanowił iść piechotą. Wrócił od Karego dosyć późno, a że nie potrafił sobie odmówić zaplanowanej na wieczór lektury, na sen pozostało niewiele czasu. Poranny spacer poskutkował jednak i w Pałacu Mostowskich zjawiał się już w zupełnie przyzwoitej formie, czego nie można było powiedzieć o Marku Barnychu, na którym własny organizm mścił się z całą bezwzględnością za brak umiaru na jakiejś wczorajszej imprezie. Młody chorąży prezentował się dosyć żałośnie i niewiele było rzeczy, do których nadawałby się w tym stanie. Zadra kazał mu iść do bufetu i wypić trzy kefiry z kawą. Barnych wybiegi z pokoju przesyłając szefowi dziękczynne spojrzenie. Porucznik odszukał numer telefonu mecenasa Wardy i zadzwonił do niego. Jak przypuszczał Kary, Starecki rzeczywiście sporządził testament. Marcin umówił się na jutro z adwokatem, który" obiecał, że do tego czasu załatwi wszystkie niezbędne formalności.

— No jak, lepiej się czujesz? — zapytał Zadra, kiedy zmaltretowany chorąży wrócił na górę. .

— Lepiej to na pewno, ale jakbym powiedział, że zupełnie dobrze, tobym. jak Boga kocham, skłamał...

— Dobra, dobra, już się nie roztkliwiał tak nad sobą. Opowiedz lepiej, co tam wczoraj zwojowałeś.

— Więc tak: Kortysiowa rozpoznała ten plecak. Przysięga, że to ten sam. Miał taką małą, fabryczną skazę, na którą zwróciła uwagę podczas czyszczenia. To wszystko. Wykaz z „drogówki" ma być przygotowany dziś po południu.

— W porządku. Rozmawiałem wczoraj wieczorem z Karym. Przesłuchaj taśmę i sprawdź jego alibi. Poza tym zbierz informację o nim i o tych pozostałych przyjaciołach Stareckiego: Kieriesiu i Margielle. Do roboty, bracie, do roboty.

— Łatwo ci powiedzieć. Chyba muszę wypić jakieś piwo, bo inaczej się do wieczora nie podniosę. A nawiasem mówiąc te wszystkie informacje to na dzisiaj?

— Na dzisiaj misiu, na dzisiaj. Noc miałaś wesołą, to muszę ci i dzień nie najgorszy załatwić. Żebyś się w pracy nie nudził. Nieprawdaż?

*

Kawecką odszukano jeszcze przed południem. To znaczy nie trzeba jej było nawet specjalnie szukać, bo po prostu wróciła do domu, który oczywiście znajdował się pod obserwacją. Natychmiast przekazano wiadomość Zadrze. Postanowił zadzwonić do niej i prosić o stawienie się w komendzie. Nie chciał zbyt wcześnie wzbudzać jej podejrzeń. Liczył na efekt zaskoczenia — nie mogła przecież wiedzieć, że Rzeszutko został już powiązany ze sprawą Stareckiego i że wszystko powiedział. Obiecała, że będzie za godzinę. Zjawiała się punktualnie.

— Dziękuję, panie poruczniku, nie spodziewałam się, że jest pan taki rycerski. Jak będę się mogła panu odwdziżyć?

Uśmiechała się ujmująco i patrzyła na Zadrę z nic ukrywaną aprobata.

— Nie ma o czym mówić. Przypadek. Czasami się zdarza, chociaż rzadko. Widzę, że wróciła już pani do siebie po przedwczorajszej przygodzie.

— Tak, ale przyznam, że spałam tamtej nocy raczej tak sobie. Dobrze, że to się tak skończyło. To tylko dzięki panu. Jak pan sobie dał radę z tymi czterema drabami.

— Kwestia wprawy.

— Chyba przesadnie jest pan skromny, panie poruczniku.

— No, może troszeczkę. Ale przejdźmy do rzeczy. Mówiłem przed chwilą, że przypadki się zdarzają, lecz bardzo rzadko. Przypadkiem było, że ja się tam znalazłem, nie wierzę jednak, że napaść tych czterech na panią też była zbiegiem okoliczności...

— Kiedy naprawdę. Ja żadnego z tych facetów nie znam. Nigdy ich nie widziałam. Zupełnie nie mam pojęcia, czego ode mnie chcieli. Nigdy mi się nic podobnego nie zdarzyło. Wracałam od znajomego do domu. Mieszkam niedaleko, po drugiej stronie Żwirki i Wigury — i nagle ich zobaczyłam. Okrążyli mnie. Nie pozwalali odejść... resztę już pan sam widział.

— I jest pani zupełnie pewna, że żadnego z nich nigdy pani nie widziała?

Zawahała się przez chwilę. Spuściła oczy.

— Może gdzieś tam któregoś widziałam. Nie pamiętam.

— Którego?

— Ja naprawdę nie pamiętam. Mówiłam już, że żadnego z tych typów nie znam. Nie wiem, czego pan ode mnie chce.

— Chcę, żeby pani była ze mną szczerą.

— Jestem szczerą.

— Rzekłbym, że tylko do pewnego stopnia. Pani Bożenko, pożartowaliśmy sobie, było miło, a teraz porozmawiajmy poważnie. Przesłuchiwałem wczoraj Rzeszutkę...

— I? — panowała nad sobą znakomicie. Tylko lekkie zaciśnięcie szczęk zdradzało ogromne napięcie.

— Opowiedział, jak to zaproponowała mu pani dosyć nieciekawą, jak się okazało, pracę. Proszę pani, nie oszukujmy się, jest pani i to bardzo poważnie zamieszana w to morderstwo. Nietrudno przecież wyobrazić sobie taki scenariusz. Postanowiła pani okraść Stareckiego. Albo może pozbyć się go z jakichś powodów? Dla zatarcia śladów namawia pani jakiegoś typa do włamania.

— Logiczne, ale nieprawdziwe. — Zgoda — znałam Rzeszutkę, chociaż „znałam” to nawet za dużo powiedziane — to po prostu jakiś kolega Starszczyka. Nie przypominam sobie, żebym z nim rozmawiała w ciągu ostatnich kilku miesięcy. To wszystko.

— Kłamie pani i to kłamie nieudolnie. Zeznania Rzeszutki w połączeniu z tamtym zdarzeniem mają zupełnie jednoznaczną wymowę. Może robię błąd — ale przyznam się pani, że nie jestem przekonany, że to pani zabiła Stareckiego. Jestem natomiast pewien, że jakiś udział w tej zbrodni pani miała. Proszę mówić prawdę, bo to jest w tej chwili pani jedyna szansa.

— Nie mam nic wspólnego z zabójstwem Jerzego.

— Kogo pani osłania? Dlaczego?

— Jeszcze raz powtarzam. Nikogo nie osłaniam, nie mam z tą sprawą nic wspólnego.

Zapadła chwila milczenia. Nie wiedział, jak przełamać jej instynktowny już chyba tylko upór. Zaproponował kawę — przyjęła z wdzięcznością. Piła w milczeniu. Nie przerywał jej. Udawał, że przegląda jakieś papiery. Dopiero po dłuższej chwili znów spojrzał na Kawecką. Palila nerwowo papierosa pogrążona bez reszty w swych myślach.

— Znała pani zbiór monet Stareckiego? Uniosła gwałtownie głowę. Pobladła.

— Tak... znałam — odparła z wahaniem. — Dlaczego pan pyta?

— Sądzę, że mogły stanowić motyw morderstwa.

Pobladła jeszcze bardziej. Już nie umiała zapanować nad nerwami. Musiała zapleść z całej siły dłonie, by powstrzymać ich drzenie.

— Przyznaję się. To ja ukradłam te monety i namówiłam Rzeszutkę do włamania. Ale to wszystko! Ja go nie zabiłam! Jak wychodziłam, żył jeszcze! Przybiegam!

— Niech się pani uspokoi i opowie wszystko po kolei. Tylko spokojnie.

— Miałam już dosyć takiego życia. Chciałam się usamodzielnąć. Wyjechać gdzieś... sama nie wiem — mówiła szybko, urwanymi zdaniami, jakby chcąc wyrzucić z siebie to wszystko. — Wymyśliłam to jakiś miesiąc temu. Umówiłam się z Rzeszutką. Jemu nic nie mówiłam o monetach, myślał, że chce się za coś tam zemścić na Jerzym. I miał rację. Nienawidziłam tego starego capa. Traktował mnie jak dziwkę, która przybiega na każde kiwnięcie palcem. Nienawidziłam go i nie mogłam się od niego wyzwolić. Wymagał ode mnie rzeczy, na które nie zgodziłaby się żadna prostytutka — a ja gardziłam sobą i robiłam to... i jeszcze płakałam z rozkoszy. — A później... Szkoda gadać... — zapaliła kolejnego papierosa i zaciągnęła się głęboko. Po chwili znów zaczęła mówić. — Tamtej nocy przyszliśmy do niego z knajpy, poszliśmy do łóżka, ale ta świnią była już tak pijana, że od razu zasnął i to... nieważne. Wstałam i powiem szczerze — miałam ochotę mu czymś ciężkim przyłożyć. Ogromną ochotę. Ale opanowałam się. Wzięłam monety i wyszłam. To wszystko. Co było dalej, mówiłam już poprzednim razem. To była prawda.

Rewizja u Kaweckiej była jednym z przykrzejszych przeżyć w dotychczasowej karierze Zadry. Wracała później często niechcianym wspomnieniem, fragmentami zdarzeń, urywkami słów. Wtedy najbardziej zazdrościł znajomym przywileju selektywnej pamięci... Rozbiegane, „węszące” oczy sąsiadki poproszonej na świadka i martwe, utkwione w jeden punkt oczy Kaweckiego, ojca Bożeny. Milcząca pewność siebie prokuratora i mechaniczna, bezosobowa sprawność ekipy technicznej. Ta ostatnia nic na wiele zresztą potrzebna. Monety znajdowały się w miejscu przez Kawecką wskazanym, a niczego więcej nie spodziewali się przecież tutaj znaleźć. Jeszcze jedno bezsensowne działanie konieczne.

Barnych wrócił dosyć późno, ale w znacznie lepszej niż rano formie. Próbował nawet, jak zwykle, dowcipkować, lecz Zadra mu przerwał. Nie miał nastroju do żartów.

— Daj spokój, Marku. Mów lepiej, co tam z alibi Karego i czy masz coś nowego o Margielle i Kiere-siu?

— Więc o Karym tak: w brydża grał rzeczywiście. Wyszedł kwadrans po pierwszej. Miny mieli ci je-go przeciwnicy dosyć niewyraźne, jak o tym brydżu mówili. Przyznali się "wreszcie, że ich orznął na ponad tysiąc złotych. Patol na jeden wieczór, nieźle. A bardzo się przecież nie urobił. Stamtąd na plac Zawiszy idzie się jakieś 30—35 minut. Nawet bardzo się nie zasapałem. Ale ciekawa sprawa z cieciem. Mówi, że otwierał Karemu o wpół do trzeciej. Twierdzi, że dobrze pamięta, bo ma budzik przy łóżku i jak go Kary obudził, to spojrzął. Zresztą nie kładł się już później, bo dorabia sobie roznoszeniem mleka i od razu zabrał się do roboty. Skończył dopiero gdzieś koło piątej. Wrócił do siebie, zjadł śniadanie i dopiero po szóstej otworzył bramę. Jest absolutnie pewien, że do tego czasu Kary nie wychodził z domu.

— A czego dowiedziałeś się w biurze, w którym pracuje?

— Mówiąc prawdę — niewiele. Jest konstruktorem. Żadnych możliwości malwersacji. Opinię ma dobrą, a nawet bardzo dobrą. We wtorek zjawi! się w pracy normalnie, o ósmej, nawet trochę wcześniej, bo o ósmej zaczęła się już narada u dyrektora.

— Z tego by wynikało, że nasz inżynier nie miał możliwości wywiezienia przedmiotów z Notariuszowskiej. Gdyby zabił, to przed powrotem do domu nic zdążyłby, a po szóstej rano w zasadzie nie miał czasu ani możliwości. Chyba że nic działał sam... No dobrze... Do celników zajrzałeś?

— A jakże, za kogo mnie pan porucznik uważa. Oczywiście, że zajrzałem.

— No i...?

— No i nic. Nic o nim nie wiedzą. Albo zawsze był czysty, albo po prostu miał szczęście.

— Może chociaż o Margielle masz coś nowego?

— Że mieszka samotnie w domku niedaleko Stareckiego, że jest prezesem spółdzielni kołdrzarskiej i że ta spółdzielnia, jak przynajmniej twierdzi sekcja gospodarcza, jest czysta — to już wiesz. Niewiele więcej zdołałem się dowiedzieć.

— Niewiele, to znaczy konkretnie co?

— Margiełło ma bardzo ciekawą przeszłość polityczną. Przed pięćdziesiątym szóstym był bardzo aktywnym i dosyć wysoko stojącym w hierarchii działaczem ZMP...

— Wielu młodych ludzi działało wtedy w ZMP.

— Tak, ale nasz prezes odznaczał się wyjątkową gorliwością. Ponoć wiciu ludziom nieszczególnie się przysłużył... Wrócono mu wtedy wielką karierę. Po październiku zupełnie stracił zainteresowanie do polityki. Poszedł do wojska, wyjechał na kilka lat z Warszawy. Później zaczął pracować w spółdzielczości. Dosyć szybko został prezesem — ponoć zadziałały dawne znajomości — ale dalej nie awansował. Siedzi już na tym stołku od kilkunastu lat i wszystko wskazuje na to, że nie wybiera się wyżej. Wydaje się, że bardzo musiał się zmienić...

— Tak, to nawet ciekawe, ale nie sędzę, żeby miało wicie wspólnego z naszą sprawą. Gdyby to Margiełłę zamordowano, ale tak...

— To sarno sobie pomyślałem, szefie...

— W porządku. Kiereś?

— Jest. lektorem angielskiego na politechnice, poza tym zajmuje się tłumaczeniem dla różnych instytucji. Lubi sobie wypić i to zdrowo. Zarabia nieźle, ale wygląda na to, że jeszcze więcej wydaje. Jego żona jest kierowniczką komisji, w którym stwierdzono niedawno poważny niedobór — blisko sto tysięcy. Kierosowie uzupełnili go w ciągu 24 godzin.

— No tak... Trzeba z nim będzie jutro pogadać. Wygląda na to, że to nasz ostatni poważny kandydat.

— A co z Kawecką?

— Rozmawiałem już z nią. Jest aresztowana. Przyznała się do kradzieży monet.

— Znakomicie. Dlaczego od razu nie mówiłeś. Czyli co — zbliżamy się do fajrantu? Pewnie jakaś premia wpadnie... — rozmarzył się Barnych.

— Żartujesz. Jest podejrzana o kradzież monet, to wszystko. Już nie pamiętasz, że ekspertyza z Zakładu Medycyny Sądowej wykluczała w zasadzie, by Stareckiego mogła zabić kobieta. Poza tym Kawicka ma alibi potwierdzone przez tego taksówkarza i ojca. Oczywiście nie można założyć na sto procent, że to nie ona, ale praktycznie rzecz biorąc...

Cisze, która zapanowała po tym stwierdzeniu, przerwał funkcjonariusz, który wszedł do pokoju, zameldował się regulaminowo i położył na biurku sporą kopertę — przesyłkę z Wydziału Drogowego Komendy Stołecznej. Porucznik podał ją Barnychowi.

— Zobacz, co tam ciekawego?

Bornych otworzył kopertę i przez chwilę studiował jej zawartość.

— To lista osób, zatrzymanych tamtej nocy na trasie Warszawa — Serock.

— I co, jest tam przypadkiem któryś z naszych znajomych?

— Tak szefie, Kiereś. Mariusz Kiereś, syn Stanisława. .

U mecenasza Zadra zjawił się, zgodnie z umową, z samego rana, jeszcze przed pracą. Warda już go oczekiwał. Przywitał porucznika wylewnie i wprowadził go do swego gabinetu. Wszystkie ściany obstawione były regałami z książkami, z których, jak zdążył się zorientować Zadra, tylko nieznaczną część stanowiły pozycje prawnicze.

— Tak... pan Starecki nie żyje. Niesamowite. Jeszcze dwa czy trzy tygodnie temu był tutaj u mnie — mecenas w zadumie pokiwał głową.

— Dlaczego uważa pan jego śmierć za tak niezwykle zdarzenie? Chyba z racji swego zawodu, podobnie jak ja, często ma pan okazję stykać się z ludzką śmiercią

— Tak, oczywiście. Ale z nim to była trochę inna sprawa. Zgłosił się do mnie jakiś miesiąc temu. Chciał spisać testament. I to natychmiast Od ręki niemal. Tak mu się spieszyło, jakby miał lada dzień umrzeć. I rzeczywiście... A wyglądał zupełnie zdrowo. Jak umarł?

— Został zabity. We własnym domu. W nocy z 21 na 22 sierpnia.

— Szkoda go. Młody jeszcze był, mógł pożyć. No cóż, bywa i tak.

— Ano bywa. Niestety. No i co było dalej z tym testamentem?

— Spisał, ja i żona poświadczylśmy. Oryginał został u mnie, nawet nie chciał wziąć odpisu. Napisał i od razu wybiegł. Jak oparzony. W ogóle dziwnie się zachowywał. Jakiś taki niespokojny był, podekscytowany. Nawet myślałem początkowo, że jest pijany, ale nie był.

— Czy ma pan ten testament tutaj?

— Tak, mam, kopię oczywiście, zaraz pana pokażę. — Adwokat dźwignął się z fotela. — To bardzo dziwny testament. Teraz już się takich nie spotyka. — Wyjął z koperty arkusz papieru i podał Zadrze.

Porucznik rzucił okiem na datę — 21 lipca. Niemal dokładnie na miesiąc przed śmiercią. Dziwny zbieg okoliczności — pomyślał.

Warszawa 21.VII.197« r. Ja, niżej podpisany, zapisuję cały swój majątek, to jest: warsztat samochodowy przy Alei Krakowskiej 437 w: Warszawie, dom przy ulicy Notariuszowskiej 3Aw Warszawie, gotówkę-w wysokości 1.570 tys. zł zgromadzoną na kencie 2-426-7247 OM VII w Warszawie oraz wszystkie należące do mnie ruchomości — Państwowemu Domowi Dziecka w Lubnicy w województwie plockim. Do rozporządzenia zapisanym majątkiem uprawniony będzie specjalnie w tym celu powołany społeczny komitet wychowanków. Moją wolą jest, by wśród wydatków z funduszu powstałego ze sprzedaży pozostawionych przez mnie ruchomości i nieruchomości oraz gotówki, uwzględniono specjalne stypendia dla studiujących wychowanków domów dziecka. Pragnę także, by wszystkim wychowankom Domu Dziecka w Lubnicy założono książeczki mieszkaniowe PKO.

Jerzy Starecki

Poniżej następowały podpisy świadków.

Stanisław Kiereś był wyjątkowo potężnie zbudowanym mężczyzną. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu i posturę miotacza młotem. Jego zachowanie wskazywało na to, że nie odczuwa on najmniejszego zaniepokojenia nagłym wezwaniem do Komendy Stołecznej MO.

Zadra Wskazał mu krzesło, usiadł naprzeciw i bez zbytecznych wstępów rozpoczął rozmowę:

— Jest pan przesłuchiwany jako świadek w związku z zabójstwem Jerzego Stareckiego. Co panu wiadomo o tej sprawie?

— Nie bardzo rozumiem, panie poruczniku. Skąd niby mogę coś wiedzieć o śmierci Stareckiego?

— Od kiedy zna pan Stareckiego?

— Szmata czasu. Poznaliśmy się z dziesięć lat temu chyba, przez Margiełłę.

— Czy utrzymywali panowie ze sobą bliższe kontakty?

— Dosyć. Widywaliśmy się przynajmniej raz na tydzień, na brydżu. Poza' tym wpadaliśmy od czasu do czasu razem do knajpy.

— Czy przyjaźń micie się panowie?

— Nie wiem, czy byliśmy przyjaciółmi. Chyba nic nazwałbym tego w ten sposób. Powiedzmy, że byliśmy znajomymi, dobrymi znajomymi.

— Kiedy widział pan Stareckiego po raz ostatni?

— W sobotę wieczorem.

— O której?

Kiereś zmieszał się nieco.

— No, prawdę powiedziawszy to była już chyba niedziela rano. Straciłem, że tak powiem, dokładną rachubę czasu, ale kiedy wracałem do domu, było już zupełnie jasno.

— Tak, słucham... Słucham, dalej.

— Odpowiedziałem już panu. Ostatni raz widziałem Stareckiego w niedzielę rano.

— W jakich okolicznościach?

— Czy to naprawdę istotne?

— Gdyby nie było, nie zadawałbym panu tego pytania. Proszę odpowiedzieć.

— No cóż, takie małe koleżeńskie spotkanie. Wypiliśmy trochę, pogadaliśmy... Wie pan jak to jest.

— Sami panowie byliście?

— No... niezupełnie... Były jeszcze takie dwie panienki...

— Nazwiska, adresy.

— Jak Boga kocham — nie wiem. Wyjęliśmy je ze „Stolicy”.- Pierwszy raz je wtedy widziałem. I chyba ostatni. Niestety. Moja miała na imię Małgośka, ta druga to nawet nie wiem. Sam pan rozumie. Mieliśmy ochotę się zabawić, akurat napatoczyły się takie dwie wesołe panienki, zresztą z Jerzym nigdy nie było kłopotów z tym towarem, no i skończyło się na Notariuszowskiej.

— Byliście tylko we czwórkę?

— Tak. Zupełnie wystarczyło. — Kiereś uśmiechnął się dosyć obleśnie.

— A kiedy „wyjmowaliście”, jak pan to określił, te panienki ze „Stolicy” — czy były same?

— Pewny nie jestem, ale chyba tak.

— Czy obie wyszły od Stareckiego razem z panem?

— Tak. Mieszkają w jednym akademiku — na Żwirki i Wigury. Miały niedaleko.

— Odprowadzili je panowie? Kiereś znowu się zmieszał.

— Wie pan, obaj byliśmy już trochę zmęczeni, poza tym miały do akademika tylko parę kroków...

—Czy wie pan, co studiują te panienki?

—Nie wiem. Nie rozmawialiśmy na ten temat. W ogóle dosyć mało rozmawialiśmy. Chociaż nie, moja studiuje zdaje się filologię francuską. Teraz sobie przypomniałem. Zgadało się w pewnym momencie... — znowu Zadra uznał, że „obleśny” jest jedynym stosownym przymiotnikiem dla określenia uśmiechu Kieresia.

— Proszę teraz dokładnie opisać te panienki.

Kierys opisał obie dziewczyny wykazując przy tym sporą spostrzegawczość, i zmysł obserwacyjny.

— Dziękuję. Proszę teraz powiedzieć, jak spędził pan noc z 21 na 22 sierpnia?

— Chwileczkę, zaraz sobie przypomnę. Z poniedziałku na wtorek? — zapytał po krótkim zastanowieniu.

— Tak. Z poniedziałku na wtorek.

— Już wiem. Miałem bardzo pilne tłumaczenie. Siedziałem przy tym chyba do piątej rano.

— U siebie w domu?

Kiereś spojrzał zdumiony na porucznika.

— Oczywiście, że u siebie.

— Nie jest to znowu tak oczywiste. Nie wszystkie noce spędza pan tak przykładowo w domu.

— To wyłącznie moja sprawa i stanowczo wypraszam sobie wszelkie insynuacje na ten temat.

— Przepraszam, jeśli pana uraziłem. Proszę mi teraz powiedzieć, czym zajmuje się pański syn?

Najwyraźniej zaskoczyło go zupełnie to pytanie.

— Nie widzę związku...

— Nie szkodzi. Proszę odpowiedzieć.

— Studiuje. To znaczy w tym roku dostał się na studia, na handel zagraniczny w SGPiS-ie.

— Czy jest teraz w Warszawie?

— Nie, wyjechał w poniedziałek nad morze, do Sopotu.

— Czym pojechał?

. — Pożyczyłem mu swój samochód. Prowadzi nie gorzej ode mnie. To miała być taka nagroda za studia. Bardzo się cieszył na ten wyjazd.

— Rozumiem. Kiedy syn wróci?

— Na pewno przed pierwszym wrześniem. Musi zgłosić się na praktyki robotnicze.

— Czy zna pan jego adres w Sopocie?

— Nie znam. Ale wziął namiot, na pewno zainstalował się na którymś z campingów. Proszę mi jednak wyjaśnić, co mój syn może mieć wspólnego z zabójstwem Stareckiego?

— Najprawdopodobniej nie. Rozumie pan jednak, że muszę sprawdzić dokładnie cały krąg znajomych Stareckiego. Eliminując kolejnych potencjalnych podejrzanych dojdziemy w końcu do tej właściwej osoby.

. — Więc ja i mój syn jesteśmy podejrzani?

— Potencjalnie tak. Formalnie oczywiście nie. ?

— Ale Mariusz przecież prawie nie znał Jerzego.

— Nie był nigdy na Notariuszowskiej?

— Chyba tylko raz. Jakiś miesiąc temu. Zaczął na poważnie trenować brydża i wydawało mu się, że już coś umie. Chciał się sprawdzić. Zagrał ze swoim stałym partnerem, Piotrem Kowińskim, przeciw Stareckiemu i Karemu. Wynik był dosyć żalorny. Chłopcy przegrali całe swoje tygodniówki...

— Grali u Stareckiego.

— Tak. Mariusz był wtedy u niego pierwszy raz i — o ile się orientuję — ostatni.

— Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy w planach wyjazdowych syna nie nastąpiła przypadkiem zmiana?

— Tak... owszem. A skąd pan wie, panie poruczniku?

— Za chwilę pana wyjaśnię. Proszę powiedzieć, gdzie wybierał się syn i dlaczego zdecydował się na Sopot?

— Miał jechać w góry, w Karkonosze, ale przypadkiem, przez znajomego, udało mi się zdobyć bilety na festiwal w Sopocie. Stąd zmiana planów.

— Rozumiem. Kiedy syn zdecydował się jechać na Wybrzeże?

— Kiedy dowiedział się, że dostałem te bilety. W niedzielę chyba właśnie. Ale obiecał mi pan, poruczniku, wyjaśnić, skąd pan wie o tej nagłej zmianie. Widzę, że jest pan doskonale zorientowany w sprawach mojego syna...

— Po prostu: dowiedziałem się, że chciał pan pożyczyć od Stareckiego plecak. Do wyprawy nad morze nie był potrzebny...

— Owszem, prosiłem Jerzego o pożyczenie tego plecaka, ale okazało się...

— I co — przerwał mu Zadra — pożyczył pan?

— Okazało się — Kiereś kontynuował, jakby nie zauważył wtrętu porucznika — że nie będzie potrzebny. Dokładnie tak, jak słusznie pan zauważył — dodał po chwili złośliwie.

— Proszę mi jeszcze powiedzieć, z kim wyjechał pana syn do Sopotu?

— Z przyjacielem. Z Piotrem Kowińskim właśnie. Nadal nie rozumiem, panie poruczniku, pańskiego zainteresowania moim synem. Cóż on może mieć wspólnego z tą całą historią?

— Proszę mi wierzyć, że nie ma w tym nic szczególnego. Moim obowiązkiem jest sprawdzenie wszystkich osób z kręgu ofiary. Proszę to traktować jako zwykłą formalność. Chciałem teraz wrócić jeszcze na chwilę do pana. W komisie, którego kierowniczką jest pańska żona, stwierdzono znaczny niedobór, uzupełniony przez państwa bardzo szybko. Skąd mieli państwo te pieniądze?

— To nasza sprawa.

— Niezupełnie, skoro o to pytam. Proszę odpowiedzieć.

— Mieliśmy trochę oszczędności, resztę pożyczyliśmy.

— Od Stareckiego.

— Nie. Od rodziny żony. Jerzy odmówił mi pożyczki.

— I miał pan do niego o to żal...

— Myli się pan. Znałem zasady Stareckiego i telefon do niego w tej sprawie dowodził raczej, jak bardzo byłem zdenerwowany. Szybko zresztą zdałem sobie sprawę, że to nie ma sensu. Nawet przeprosiłem Jurka, że postawiłem go w niezręcznej sytuacji. Jak już powiedziałem, udało się nam uzyskać te pieniądze z innego źródła, a ta sobotnia wódka ze Stareckim miała być świadectwem, że nie ma między nami żadnych nieporozumień.

— Proszę podać adresy ludzi, od których uzyskaliście państwo pożyczkę.

Kiereś podyktował adresy, przeczytał uważnie protokół przesłuchania, podpisał każdą stronę i pożegnawszy się chłodno wyszedł z pokoju.

— i co o tym myślisz? — zwrócił się Zadra do Baraycha.

— Trzeba by to wszystko sprawdzić... — Zaczął niepewnie chorąży. .

— To na pewno. Zajmiesz się tym. Ja chyba poświęcę weekend na przejażdżkę do Sopotu. Trzeba koniecznie porozmawiać z młodym Kieresiem. Przyślij na moje nazwisko teleks do Komendy Miejskiej w Sopocie z informacjami o młodym człowieku. To już wszystko. Mam nadzieję, że wystarczy i nie będziesz miał okazji nudzić się dzisiaj. Lecę na dworzec kupić bilet. Życzę owocnej pracy. Do poniedziałku.

Spotkanie z młodym Kieresiem to nie był jedyny powód, dla którego Marcin tak ochoczo zdecydował się na poświęcenie soboty i niedzieli na wyjazd na Wybrzeże. Był i drugi — długonoga blondynka imieniem Maria. Powód mieszkał w Sopocie i właśnie przygotowywał się do obrony pracy magisterskiej na Wydziale Prawa Uniwersytetu Gdańskiego... Zdaniem młodego oficera już stanowczo zbyt długo się nie widzieli. Miał nadzieję, że Maria jest tego samego zdania.

Na miejscu był kilka minut przed dwudziestą. Maria nie była uprzedzona o jego przyjeździe, chciał zrobić jej niespodziankę.. Wsiadłszy z pociągi, odurzony zapachem nadmorskiego kurortu i jego specyficzną atmosferą nie potrafił odmówić sobie krótkiego spaceru po „Monciaku". Szedł wolno, środkiem deptaku, otoczony hałaśliwym, kolorowym tłumem. Doszedł aż do mola, popatrzył chwilę na morze. Zacerpnął głęboki haust powietrza i zawrócił na ulicę Bieruta, do Marii. Teraz już szedł szybko, nie przystając i nie zwracając uwagi na to, co dzieje się wokół — spieszył się.

Drzwi otworzyła mu Maria. Była sama, mama wrócić miała dopiero za tydzień. Stali przez moment naprzeciw siebie w drzwiach, bez słowa. Pierwszy ochłonął Zadra.

— Dobry wieczór, mogę wejść?

Maria nie odpowiedziała. Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego całym ciałem.

— Tak bardzo się cieszę. Zupełnie się ciebie nie spodziewałam. Nie mogłeś mi zrobić przyjemniejszej niespodzianki,

Znowu zapadła cisza. Witali się długo.

Maria podała kolację. Jedli przy zapalanej świeczce, popijając czerwonym winem i rozmawiając półgłosem. Maria opowiadała o swojej pracy dyplomowej, Sopocie, wspólnych znajomych. Marcin słuchał jej z przyjemnością. Odpoczywał. Był z Marią i nic innego teraz nie istniało dla niego.

Położyli się wcześniej, ale spali krótko.

Telefon od Barnycha nie zawierał niestety wielu ciekawych informacji. Wszystko wskazywało na to, że Mariusz Kiereś jest młodym człowiekiem podobnym do tysięcy swoich rówieśników. Absolwent jednej z warszawskich szkół średnich, obracający się w stałym kręgu przyjaciół, nie karany, nie notowany.

Przy pomocy funkcjonariuszy z komendy miejskiej odszukał go bez trudu. Chłopak zatrzymał się na campingu w Kamiennym Potoku. Był zaskoczony, wręcz przerażony, wizytą oficera ze stolicy; Przez dłuższą chwilę nie mógł dojść do siebie.

— Ja nie rozumiem. Przecież ja nie mam z tym wszystkim nic wspólnego... Przecież... ja prawie nie znałem pana Stareckiego... Ja naprawdę nie mam z tym nic wspólnego... — powtarzał bez przerwy.

Zeznanie chłopca pokrywało się całkowicie z tym, co mówił jego ojciec. Stareckiego widział raz w życiu, na brydżu na Notariuszowskiej. Postanowił jechać do Sopotu, kiedy dowiedział się, że ojciec kupił bilety na festiwal. Z domu wyjechali koło ósmej, ale po drodze wpadli do znajomego w Jadwisinie, u którego zabawili do dwunastej. („Oczywiście, że potwierdzi, dlaczego miałby nie potwierdzić?") Przed Zegrzem zatrzymała ich drogówka („Trzy chałupy w polu stały i od razu teren zabudowany. Nawet siedemdziesiątką nie jechałem, a dwie stowy musiałem wybulić. To się nazywa sprawiedliwość?") W Sopocie byli przed piątą. To wszystko.

Zeznania przyjaciela Mariusza, Piotra Kowińskiego, w pełni potwierdziły słowa chłopca.

Wszystko wskazywało na to, że kolejny ślad prowadzi do nikąd.

Nic zostało mu już wiele czasu dla Ewy. Nic mogli się sobą nacieszyć. Tak bardzo im było brak siebie przez te wszystkie dni... Żegnali się zachłannie, jakby na zawsze. Ale cóż, pociągi rzadko i niechętnie czekają na spóźnialskich kochanków...

Obudził się zlany potem. Był świt. Za oknem szalała burza, ale powietrze było parne i gęste Zapalił papierosa. Tyle razy, obiecywał sobie, że nie będzie palił na czczo, ale rano ręka zawsze instynktownie wędrowała do papierosa...

W komendzie zjawił się znacznie wcześniej niż zwykle. Wyciągnął czystą kartkę papieru, usiadł za biurkiem i próbował skupić myśli. Jeszcze raz, od początku, analizował dotychczasowe wyniki śledztwa. Kreślił coraz to nowe sieci realnych i potencjalnych zależności między Stareckim a osobami, z którymi się stykał. Ale wszystko to rwało się w pewnym momencie, nie prowadziło do żadnych rozwiązań.

To bez sensu — pomyślał po godzinie bezowocnych spekulacji - nic z tego nie wyduszę. Za wcześniej. Jeszcze za wcześniej.

Znów rozpoczął swój spacer po pokoju. Wyglądało na to, że wszedł mu już w nawyk. Pięć kroków w jedną stronę, zwrot, pięć kroków w drugą stronę, zwrot... Przerwał mu telefon. Walecki proponował, by wpadł do niego, na chwilę, na kawę. Marcin uśmiechnął się ciepło na myśl o intuicji kolegi i przyjął zapro-

szenie z wdzięcznością. Bardzo potrzebował dzisiaj rozmowy z kimś. do kogo mógłby mieć pełne zaufanie.-

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, wsłuchując się w syk miniaturowego ekspresu 60 kawy.

— Kłopoty? — bardziej stwierdził niż zapytał! Walecki.

— Właśnie. Koło się jakby zamknęło i obawom się, że znowu jestem w punkcie wyjścia. Nie bardzo wiem, co dalej...

— Mylisz się. Jesteś teraz w o tyle lepszej sytuacji, że pewne wątki możesz wyeliminować. Poza tym sporo wiesz o ofierze i jej środowisku. To wcale nie tak mało.

— Dużo też nie...

— Widzę, że nastrój to masz raczej taki sobie...

— Ano.

— Cóż, stary, nie wymagaj od życia zbyt wiele. Nigdzie nie jest powiedziane, że po tygodniu twojego śledztwa morderca powinien w wolnych chwilach studiować sobie własny akt oskarżenia. Bywa że...

— Tak, wiem — przerwał mu Zadra. — Bóg zapłać za pociechę. Z rzeczy bardziej konkretnych nic mi nie można zaproponować?

— Ciężko się z tobą rozmawia. Rozumiem, że nie masz pojęcia, co dalej. Tak?

— Dokładnie.

Przerwali na moment, bo kawa była już gotowa. Walecki podniósł się z fotela i napełnił filiżanki. Teraz on zaczął chodzić po pokoju.

— Obawiam się — przystanął w końcu i zwrócił się do Zadry — że musisz po prostu nakreślić nowy kierunek, lub nowe kierunki postępowania i zacząć od podstaw. Chyba nie masz innego wyjścia. Na przykład — dodał sadowiąc się na powrót w fotelu — czy prześwietliłeś dokładnie całą przeszłość Stareckiego?

— Trochę tak. chociaż niedokładnie Wyglądało na to, że istotniejsze jest zbadanie środowisk, w których się obracał.

— Ale skoro to nie przyniosło, jak dotąd przynajmniej, żadnych rezultatów... Wiktyologia uczy, że bardzo często przyczyn zbrodni należy szukać...

— Tak, wiem - przerwał mu Zadra. — Ale do czego to może doprowadzić w tej konkretnej sytuacji? Nie chcesz chyba powiedzieć, że mały Starecki podczas wojny zetknął się ze zbrodniczym agentem gestapo, którego spotkał i rozpoznał w przeddzień śmierci w hotelu „Forum”, po czym zdemaskowany faszysta w przebraniu ponętnej panią usunął ostatniego świadka swej ponurej działalności...

— Propozycja równie dobra, jak każda inna — odpowiedział z uśmiechem kapitan — choć przyznam, że nieco wyeksploatowana przez rodzimych romansopisarzy. Ale abstrahując od twojej ciekawej skądinąd opowieści, to masz jakieś inne propozycje? Zadra wzruszył tylko ramionami.

— Przepraszam — dodał po chwili. — Wiem, że masz racje, chociaż żadne mile dla mnie wnioski z tego nie wypływają. Cóż, nie ma co narzekać, tylko trzeba brać się do roboty. Nic na to nic wymyślę.

— I tak trzymaj, bracie. Ponarzekales sobie, ulżyło ci, a teraz do pracy.

— No właśnie., I tym optymistycznym akcentem... Dziękuję za kawę i dobre słowo. Bywaj.

— Co nowego, szefie? Jakie rozkazy na dzisiaj? — Barnych, w przeciwieństwie do Marcina, był dzisiaj w znakomitej formie. Wprost kipiał- energią.

— Poszperamy w życiorysie Stareckiego. Pojedziesz na politechnikę. Dowiesz się, z kim był w jednej grupie. Z kim się przyjaźnił, itd. Prawdopodobnie mieszkał w akademiku. Sprawdzisz, z kim mieszkał w pokoju. Jeżeli z nikim ze swojej grupy czy wydziału, to-oprócz tego kto jeszcze z jego grupy mieszkał w tym samym akademiku. Zaczynaj teraz, od razu. Na jutro rano muszę to wszystko mieć. Jakby coś było wcześniej, dzwoń. Są pytania?

Barnych spojrzał zaskoczony na Zadę. Minę miał mocno zdziwioną, ale milczał. Chciał nawet coś powiedzieć, lecz w ostatniej chwili powstrzymał się. Ociągając się nieco wyszedł zabrać się do roboty. Nic bardzo rozumiał, co spowodowało ten nagły zwrot w śledztwie.

Prawdę mówiąc. Zadra też niezbyt dokładnie wiedział, na co liczy. Był jednak pewien, że jest to konieczność, że jeżeli znowu na nic nie trafi, będzie musiał się poddać. Ale na razie nic brał pod uwagę takiej ewentualności.

Po wyjściu chorążego doszedł do wniosku, że nie ma w tej chwili nic aż tak pilnego do roboty, by nie pozwolić sobie w końcu na śniadanie. Ale nic było mu dane zjeść spokojnie. Kiedy w pustym niemal o tej porze bufecie zadzwonił telefon, nie miał specjalnych złudzeń, o kogo chodzi. ! rzeczywiście — „pilna wiadomość u oficera dyżurnego dla porucznika Zadry". Mimo wszystko, choć w pośpiechu, dokończył śniadanie i pobiegł. Okazało się, że komenda dzielnicowa na Ochocie donosiła, że zgłosił się świadek w sprawie morderstwa Stareckiego. Zadra kazał go jak najprędzej przywieźć do Pałacu Mostowskich, zostawił w dyżurce zlecenie na przepustkę i wrócił na górę.

Nie czekał długo. Widocznie funkcjonariusze z Ochoty wzięli sobie do serca prośbę o pośpiechu, bo już po kwadransie wszedł do jego pokoju młody człowiek zdradzający pewne oznaki niepokoju.

— To pan chciał złożyć zeznanie w sprawie, zabójstwa na Notariuszowskiej? — przywitał go pytaniem Marcin.

— Tak, ja właśnie...

— Jestem porucznik Zadra. Proszę usiąść i powiedzieć wszystko, co pan wie o tej sprawie.

Poczęstował go papierosem, którego tamten przyjął, potrzymał chwilę w dłoń, jakby nie wiedząc co z nim zrobić, po czym odłożył na biurko stwierdzając, że dziękuje, ale nie pali. Był najwyraźniej zdenerwowany, widać było, że jego kontakty z organami ścigania nie należą do częstych.'

Zadra zanotował jego personalia i czekał chwilę, aż tamten sam zacznie mówić. Ale młody człowiek nie spieszył się zbytnio.

— Proszę się nie denerwować. Zgłosił się pan, żeby nam. pomóc i nie ma pan: najmniejszych powodów co obaw. Proszę śmiało.

— Kiedy ja nie jestem pewien, czy to takie istotne...

— Proszę mówić, to będziemy mogli ocenić.

— No więc tak: jestem sąsiadem pana Stareckiego. Mieszkam na Notariuszowskiej prawie naprzeciw; jego domu. W poniedziałek 21 nad ranem, było chyba kilka minut po pierwszej, wyszedłem z domu. bo miałem jechać wozem do Poznania. Rozgrzewałem właśnie silnik, kiedy zauważyłem, że Notariuszowską idzie jakiś nieznajomy z takim dużym, czerwonym plecakiem. Skręcił w lewo, w Aplikantów. Po chwili usłyszałem odjeżdżający samochód. Pomyślałem, że może gość któregoś z sąsiadów odjeżdża, ale jak wróciłem z delegacji i matka powiedziała mi, że pan Starecki został zamordowany, to postanowiłem się zgłosić...

— Czy zauważył pan, z którego domu wychodził ten człowiek?

— Nie. Spostrzegłem go, jak już minął mój samochód. Widziałem go tylko z tyłu.

— Jak wyglądał ten plecak?

— No już mówiłem: taki duży, czerwony, z tych nowoczesnych — na aluminiowym stelażu.

— A jak wyglądał ten człowiek, jak był ubrany?

— Był dosyć wysoki, ale nie za bardzo, ani chudy, ani gruby, krótko ostrzyżony, sądząc po sylwetce był już chyba po trzydziestce, chociaż to trudno wyczuć. Jak był ubrany, już nie pamiętam. Wiem tylko, że miał na sobie taki długi ciemny sweter...

— Czy miał jakieś znaki szczególne? Może utykał?

— Nie, miał taki charakterystyczny, energiczny krok wysportowanego faceta. Zresztą i z sylwetki przypominał sportowca, pamiętam, że był szeroki w barach i w ogóle...

— Co to znaczy „w ogóle”?

— No. sprawiał takie wrażenie... — jak by to powiedzieć... Nie był znowu taki duży. ale jak go zobaczyłem, to sobie pomyślałem, że ten facet to do słabych nie należy.

— Rozumiem. Teraz chciałbym, żeby pan porozmawiał chwilę z naszymi specjalistami — ustalimy typ sylwetki tego człowieka. Poza tym obejrzy pan sobie kilka plecaków.

Nie było potrzeby, żeby Zadra asystował przy dających badania. Postanowił wykorzystać ten czas na obejście domów przy Notariuszowskiej i sąsiadujących z nią uliczkach. Było to rnało prawdopodobne, ale trzeba było sprawdzić, czy człowiek, którego widział świadek, nie wychodził przypadkiem z jakiegoś innego domu. Zajęło mu to prawie dwie godziny. Jak było do przewidzenia, nikt, a już tym bardziej nikt z czerwonym plecakiem. nie opuszcza! tamtej nocy żadnego z pobliskich mieszkań.

Dodatkowe badania nic wniosły wiele nowego. Opisu sylwetki mężczyzny z Notariuszowskiej nie udało się bardziej uściślić. To co było, wystarczyło jednak, by można było wykluczyć wszystkich, wokół których krążyło dotychczas śledztwo: Kiereś — zbyt wysoki i potężny. Kary — zbyt drobny, Margiełło — korpulentny i utyka. Marzec — zbyt przysadzisty. Rzeszutko — za wysoki i za szczupły...

Poza tym świadek z kilku okazanych mu plecaków wskazał bez wahania identyczny z tym znalezionym koło zalewu.

A. więc zaczynam wszystko od początku — pomyślał Zadra. — I bardzo dobrze.

Do szczerości tej ostatniej kwestii sam jednak miał wicie zastrzeżeń.

Dochodziła czwarta. Nie miał już dzisiaj po co dłużej siedzieć w komendzie. Po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia śledztwa tak wcześnie wychodził do domu. I wcale go to nie cieszyło.

Jechali ulicą Radzymińską służbowym fiatem ładnie ponad setkę. Prowadził oczywiście Barnych. Był w doskonałym nastroju i podśpiewując sobie pod nosem jakąś melodię ostro ścinał wiraże, spoglądając za każdym razem na siedzącego obok Zadę, jakby oczekując pochwały. Spieszyli się bardzo i nareszcie mógł ulżyć swoim ambicjom znakomitego kierowcy.

Była już dziesiąta. a na dwunastą trzydzieści byli umówieni z Tadeuszem Staniszem. dyrektorem dużych zakładów niedaleko Białegostoku. Mieli więc przed sobą blisko dwieście kilometrów drogi.

Tadeusz Stanisz był współlokatorem zajmowanego przez Starskiego pokoju w akademiku i jego kolegą z tej samej grypy na uczelni. Trzecim lokatorem pokoju był Krzysztof Matlarczyk, obecnie szwagier zamordowanego. Kiedy Barnych referował Zadrze, czego dowiedział się na politechnice i w akademiku, myślał, że porucznik rzuci mu się na szyję. Zupełnie nie wiedział, dlaczego Zadra uznał przyniesione przez niego wiadomości za tak istotne. Natychmiast odszukali aktualny adres Stanisza, umówili się z nim telefonicznie i oto już byli w drodze.

Jechali bardzo szybko. Pogoda była znakomita. Ruch na szosie niewielki. Od czasu do czasu tylko tarasowały drogę wielkie ciężarówki, traktory z wyładowanymi przyczepami, czy chłopskie furmanki.

Mijali typowe polskie miasteczka, rozłożone wzdłuż szosy, która w ich obrębie przybierała nazwę ulicy Warszawskiej z początku, a Białostockiej później. Krajobraz zaczynał się urozmaicać. Już nie był taki płaski, częściej trafiały się lasy, od czasu do czasu błysnęło wśród drzew małe jezioro.

Na dziedzińcu zakładów byli na dwie minuty przed umówionym terminem. Ustawili samochód obok czarnej wołgi, zapewne dyrektora. Dalej w równym szeregu stały poustawiane w długim metalowym stojaku rowery pracowników. Było też kilka motorowerów a nawet mocno już zjechanych motocykli starych typów. Weszli do ceglanego, piętrowego budynku z elegancką, nie pasującą do odrapanych murów tabliczką informacyjną, że tutaj mieści się dyrekcja. Sekretarka była już uprzedzona o ich przyjeździe. Od razu wprowadziła gości do gabinetu dyrektora. Był to duży, fatalnie urządzony pokój, w którym dominującym zdecydowanie akcentem była ogromna palma w wielkiej zielonej donicy. Na ścianach godło państwowe, reprodukcja „Słoneczników” van Gogha i jakiś wykres, obrazujący łamaną linią rozwój produkcji zakładów.

Wymienili wstępne grzeczności. Usiedli na potwornie niewygodnych drewnianych krzesłach.

— Nie, tu proszę nie siadać. Proszę tutaj — Stanisz wskazał im małe foteliki ustawione wokół niskiego stolika do kawy. Te były znacznie wygodniejsze.

— Te krzesła to mój pomysł, prawda, że wyjątkowo niewygodne? dyrektor ucieszył się wyraźnie z ich niechętnego potwierdzenia. — Sprowadziłem je specjalnie z fabryki mebli w W., która słynie z tego rodzaju produkcji. Można nawet powiedzieć, że się w niej specjalizuje. Znakomicie skracają przeciętny czas wszelkiego rodzaju nasiadówek.

Zadra i Barnych nie wytrzymałi i wybuchnęli śmiechem.

— Nie śmiejcie się panowie, mój pomysł przyniósł konkretne korzyści ekonomiczne. Zastanawiam się nawet, czy go nie opatentować. No, ale żarty na bok. Czym mogę panom służyć?

— Jak już mówiłem panu przez telefon, prowadzę dochodzenie w sprawie śmierci Jerzego Starckiego. pańskiego kolegi ze studiów. Chodzi mi o jak najdokładniejszą relację z tego okresu.

— To stare dzieje. Ale pamiętam wszystko jeszcze nie najgorzej i muszę panom powiedzieć, że to dosyć interesujące historie, chociaż — chyba bardziej dla literata, niż dla oficera milicji.

— Jak się okazuje, w zaistniałych okolicznościach, jednak głównie dla oficera milicji. — Ale — jeśli można pana prosić do rzeczy. Proszę nie pominąć nawet drobnych z pozoru szczegółów, jeżeli były charakterystyczne dla jakiejś sprawy lub miały jakiegokolwiek istotniejsze znaczenie. Słucham pana, panie dyrektorze.

— Dziwi panów może, że nie wyglądam na zbyt przejętego śmiercią Jerzego. Rzeczywiście, nie będę ukrywał, że ta wiadomość nie zrobiła na mnie specjalnego wrażenia. Nie byłem z nim nigdy w zbyt zażyłych stosunkach, a od czasu, jak wyprowadził się z akademika i rzucił studia po ożenku z Ewą, nie widzieliśmy się już ani razu. Przyznam się panom, że nie darzyłem Stareckiego sympatią, chociaż nie mogę zaprzeczyć, że był na pewno interesującym człowiekiem. Silna indywidualność. Interesują panów konflikty, no cóż, nie brakło ich. Ale może zacznę od początku. Mówiąc prawdę nie wiem, co będzie dla panów miało znaczenie, a co nie. Opowiem całą historię, a potem, jeśli panowie będą mieli jeszcze jakieś pytania, spróbuję na nie odpowiedzieć. Zgodna?

Zadra w milczeniu skinął głową.

— A więc Jerzy Starecki... Poznaliśmy się na pierwszym roku studiów na politechnice. Chłodziliśmy do jednej grupy i mieszkaliśmy w jednym pokoju w akademiku. Jerzy był silnym, mocno — nawet trochę topornie — zbudowanym chłopcem. Nie był specjalnie rozmowny ani towarzyski. Był raczej zamknięty w sobie. Nie wiem, skąd pochodził. Nigdy nie mówił na ten temat. W ogóle niewiele o sobie mówił. Co jeszcze? Nie pił, nie palił, nie używał — jak to się mówi. Nie miał tego poloru, ogłady towarzyskiej. Nie był odczytany. Kanon szkolnych lektur — to wszystko. Jak panowie widzą, obraz nie wyszedł zbyt interesujący. I to jest właśnie najdziwniejsze. W każdej grupie towarzyskiej, a już szczególnie młodzieżowej, taki facet jest przedmiotem kpin, żartów itp. Robi za takie pocziwe popychadło. W przypadku Stareckiego o niczym takim nie mogło być mowy. Miał w sobie jakąś trudną do zdefiniowania siłę. Oczywiście rozumiecie panowie, że nie chodzi tu o siłę fizyczną, której noto ber-c również mu nie brakowało. Może była to jakaś dojrzałość, powaga, przedwczesna może dorosłość, której nam wszystkim jeszcze wtedy brakowało. Trudno powiedzieć. W każdym razie w grupie dosyć długo Jerzy był sam. Nie umiem powiedzieć, czy z własnego wyboru, czy nie — fakt, iż z nikim nie utrzymywał bliższych kontaktów. A później zaczęła się ta jego przedziwna przyjaźń z Matlarczykiem. Krzysztof był chłopcem z jakiegoś powiatowego miasta, nie pamiętam już z jakiego. Był całkowitym niemal przeciwieństwem Jerzego. Był wspaniale przeciętny. Później, po historii z Ewą, to się trochę zmieniło, ale to później. Dojdę do tego. Jerzy nie uczył się dużo. zresztą bardzo wczesnie zaczął zarabiać w spółdzielni studenckiej i nie miał zbyt wiele czasu na naukę, ale stopnie miał znakomite. Bardzo szybko złapał warszawski, studencki styl. Umiał się dobrze i modnie ubierać, nie miał tego charakterystycznego dla studentów z prowincji, szczególnie na młodszych latach, kompleksu niższości. Umiał sobie znakomicie radzić. Bardzo szybko wyrobił sobie stosunki w spółdzielni, poznał układy i zarabiał tam wcale niezłe pieniądze. Nie wiem czy orientuje się pan, panie poruczniku, jaką forszę można ubić w spółdzielni studenckiej. Na trzecim roku. Kiedy Starecki już rozkręcił interes, to jak miał miesięcznic tyle, co ja teraz, to narzekał, że wyjątkowo podły miesiąc... Nic dziwnego, że dosyć szybko zaczął pić i rozglądać się za panienkami. Chociaż prawdę mówiąc nie musiał się specjalnie rozglądać. W życiu nie znałem faceta, na którego by tak bardzo leciały kobiety. I to wszystkie. Stare, młode, studentki, robotnice, nawet asystentki na wydziale. Może pan sobie wyobrazić, jak mu zazdrościliśmy. A Matlarczyk był, jak już powiedziałem, takim sobie przeciętnym chłopcem. Przeciętnym może nie w tym pejoratywnym sensie, ale ot — takim facetem jakich na studiach dziesiątki, większość. Był nawet dosyć zdolny, ale żeby utrzymać się na studiach, musiał cholernie dużo pracować, jak większość studentów zresztą. Oczywiście stopnie miał bez porównania gorsze od Stareckiego. Pieniądzy miał mało, tyle co stypendium i parę groszy od rodziców. Ubrać się też nie umiał, na kilometr było widać, że przyjechał z prowincji. Przy dziewczynie zdania nie potrafił sklecić. Ci-

chy, spokojny, sportowiec żaden, tylko w ping-ponga grał niezłe. Gdyby nie to, że też był dosyć przystojny, można by z nim pięć lat chodzić do jednej grupy i zapomnieć po tygodniu.

Jak panowie wiecie, mieszkaliśmy prawie, cztery lata we trójkę w jednym pokoju. I otóż nagle na moich oczach zaczęła się rodzić ta przyjaźń, chociaż może trudno tak nazwać to, co między nimi było. W każdym razie — i to jest najdziwniejsze — inicjatorem był właśnie Sierocki. Nie wiem, co lulaj zadziało. Moje prawo przyciągania się kontrastowych charakterów, a może... co też nie jest wykluczone, Jerzy chciał mieć w Matlarczyku tło, na którym jeszcze korzystniej by się prezentował. Nie wiem. W każdym razie Krzysztof błyskawicznie uzależnił się od Stareckiego. Doszło nawet do tego, że robił za niego projekty. Nie muszę chyba dodawać, że Jerzy dostawał za nie później lepsze oceny niż Matlarczyk za swoje. Przy czym, wbrew pozorom, nie był to układ zupełnie jednostronny. Matlarczyk dawał — Starecki brał. Bardziej przypominało to stosunki starszego brata z młodszym. Jerzy w jakiś przedziwny sposób był bardzo do Krzysztofa przywiązany, a ten z kolei patrzył w niego jak w obraz. Oczywiście Starecki nie zostawiał żadnych złudzeń, kto w tym układzie jest pierwszy. Podśmiewał się często z Krzysztofa, robił mu jakieś dowcipy, podkreślał często swoją przewagę. Tak to się wszystko układało do czasu pojawienia się Ewy, gdzieś pod koniec trzeciego roku studiów. To była niespodzianka. Krzysztof poznał ją na jakichś imieninach. Do tej pory nie wiem, czym ją wziął, pozostaje jednak faktem, że zaczęli ze sobą chodzić. Ewa nie była dziewczyną — to było zjawisko. Piękna, zgrabna, wrażliwa, inteligentna. No, w ogóle same superlatywy. Studiowa-łar zdaje się, historię. Była czytana, robiła trochę za taką młodą intelektualistkę, ale miała przy tym tyle wdzięku i prostoty, że to zupełnie nie raziło. Przyznam się, że kiedy ją poznałem, byłem zaskoczony. To była dziewczyna marzenie, jak z okładki, wie pan... Normalny człowiek nawet nie bardzo wierzy w istnienie takich dziewcząt. A Krzysztof — cóż... niczym specjalnym się nie wyróżniał. Chociaż nie, byłbym niesprawiedliwy. Był nieprawdopodobnie uparty, zawzięty w sobie. Mógł siedzieć nad projektem 24 godziny bez przerwy. Nic przesadzam, naprawdę. Po tej historii z Ewą zaczął uprawiać kulturystykę i doszedł do zupełnie dobrych wyników. Nie opuścił ani jednego treningu. Nic pamiętam też, żeby choć raz się spóźnił, czy nie przyszedł na zajęcia. Gdyby nie zaczęła go pocieszać, skutecznie zresztą, starsza siostra Ewy, to jestem absolutnie przekonany, że zostałby mistrzem Polski. Tak, uparty to on był. Pod tym względem zupełnie nie był przeciętny. A wracając do historii z Ewą... Zaczęli ze sobą chodzić. Wszystko wskazywało na to, że jest im ze sobą dobrze. Trwało 'o dosyć długo. Stosunki między Krzysztofem a Stareckim uległy wtedy rozluźnieniu;. Wyglądało na to, że Krzysztof wyzbył się w pewnym stopniu poczucia niższości wobec Jerzego. W ogóle zmieniła go ta przygoda z Ewą. Zaczął się lepiej ubierać, potrafił być błyskotliwy w towarzystwie, więcej czytał. Nawet nie ukrywał, jak bardzo jest w niej zakochany. Ona była bardziej powściągliwa w wyrażaniu uczuć, ale widać było, że też traktuje tę historię poważnie. Pamiętam, że zaczęli nawet snuć plany małżeństwa. Mieli się pobrać, gdy tylko Krzysztof skończy studia. No i nagle zupełnie, z dnia na dzień — skończyło się. Ewa oszalała na tle Stareckiego. Zupełnie niespodziewanie. Widywali się przedtem, jak jeszcze była dziewczyną Krzysztofa i nic nie wskazywało na to, że się mają ku sobie, aż tu nagle... Po dwóch miesiącach pobrali się. Jerzy rzucił studia i wyprowadził się z akademika. Zniknęli mi wtedy z oczu. Nie widziałem ich już więcej. Na ślubie zresztą też nie byłem. No, to już by chyba było wszystko. Rozgadałem się trochę.

— Tak, rzeczywiście ciekawe — powiedział po chwili milczenia Zadra. — A jak się ułożyły dalej stosunki Matlarczyka i Stareckiego i w ogóle jak Matlarczyk zareagował na tę historię?

— Zerwali ze sobą a konkretnie Krzysztof ze Stareckim. Jerzy próbował wytłumaczyć się przed nim, wyjaśnić coś, ale Krzysztof nie chciał słuchać. Wyszedł z pokoju. Przez te całe dwa miesiące, zanim Starecki się nie wyprowadził, Matlarczyk traktował go jak powietrze. Może pan sobie wyobrazić, jaka była wtedy atmosfera w pokoju. Muszę zresztą powiedzieć, że Krzysztof zaimponował mi. Był pod tak silnym wpływem Stareckiego i z dnia na dzień Starecki przestał dla niego istnieć. Całkowicie. Fakt, że miał ku temu powody. I co jeszcze dziwniejsze — Jerzy okazał się znacznie mniej wytrzymały psychicznie od Matlarczy-

ka. Właśnie Jerzy, tak pewny siebie. Jerzy zwycięzca... pewnie miał wyrzuty sumienia... A Matlarczyk? Bardzo się zmienił po tej całej historii. Stał się skryty, mrukliwy. Jak szalony zaczął uprawiać tę kulturystykę. Ale w nauce się nie opuszczał. Przez jakiś czas sporo pił, ale szybko mu przeszło. Kiedyś po pijanemu, bezpośrednio po ślubie Jerzego i Ewy, zaczął mówić o tej sprawie. Pierwszy i ostatni raz. Zaskoczył mnie wtedy. Nie spodziewałem się po nim takiej analizy. Do tej pory pamiętam jego słowa. Mówił: „Wyro, bracie. Po prostu wyro. A ja ją traktowałem jak świętą. Do głowy by mi nie przyszło, że ona może robić kupę czy mieć okres. Dla mnie była czysta. I to był, bracie, błąd. Ona po prostu jest kobietą i Starecki o tym wiedział. Zaciągnął ją do wyra, może nawet trochę przemocą i wystarczyło. Już była jego. A ja się chciałem do niej modlić. Nawet nie mam do niej pretensji. To ja byłem winien. Po prostu byłem gówniarzem a ona była kobietą. Ale jemu nie zapomnę Nigdy”. Myślę, gdyby Starecki to słyszał — przestraszyłby się. Nawet on. Niesamowicie to było powiedziane. Chyba dlatego tak dobrze pamiętam. Później spotykał się z siostrą Ewy. Zdaje się, że już wcześniej miała na niego ochotę. Po roku pobrali się. Skończyliśmy studia, nasze drogi rozeszły się. Więcej już się nie spotykaliśmy. Słyszałem, że Krzysztof jest gdzieś w Warszawie. Ja, jak panowie widzą, ugrzęzłem w tej dziurze. Ale nie narzekam. Przynajmniej wiem, że coś robię i widzę efekty swojej roboty. A to już dużo.

*

Jechali wolno pełną, białą drogą przez las. Sionce przeświecało przez liście drzew. Co jakiś czas to z lewej to i prawej strony drogi widać było niebieską taflę jeziora.

Ośrodek wczasowy „Szuwary” był położony najdalej od miasta z ośrodków leżących przy tej drodze i dosyć trudno było do niego trafić nie znając tych terenów. Ale Barnych pamięta! drogę; trafili go klucząc specjalnie. Ośrodek był pięknie położony. W lesie nad zatoczką rozłożone były małe, ale solidne i sprawiające przyjemne wrażenie domki. Nieco z boku stał pawilon, spełniający rolę stołówki i świetlicy. Obok boisko do siatkówki i kilka huśtawek dla dzieci. Między domkami nie kręciło się zbyt wielu ludzi. Większość była widocznie w lesie lub na wodzie. Niedaleko brzegu stało na jeziorze kilka łódek, popularnych „pychówok” z wystającymi wędkami. Barnych i Zadra byli w cywilnych ubraniach. Samochód także nie miał milicyjnych oznakowań. Nie chcieli wzbudzać niepotrzebnej sensacji. Jakiś otyły, starszy mężczyzna, wyglądający dosyć komicznie w krótkich spodenkach i siatkowej podkoszulce, wskazał im domek, w którym mieściło się biuro kierownika ośrodka, uprzedzając równocześnie, że nie ma tam po co iść, bo o tej porze kierownik na pewno jest na plaży nad zatoczką. I rzeczywiście. Janusz Szwadz, szczupły, przystojny blondyn z twarzą ozdobioną złotawą, starannie utrzymaną brodą, opalał się na małym drewnianym moście, do którego przymocowanych było kilka kołyszących się lekko na fali żaglówek. Obok niego leżała wyjątkowo ładna, opalona na brązowo młoda wczasowiczka w skąpym kostiumie kąpielowym. Rozmawiali ze sobą o czymś leniwie.

Temu to dobrze. Pracuje, psiakrew - - pomyślał Zadra z zawiścią. Podeszedł do wylegającej się pary i z nutką złośliwej satysfakcji zapytał:

— Nie wiedzą państwo przypadkiem, gdzie mogę znaleźć kierownika tego ośrodka?

Przystojny człowiek uniósł głowę i przyjrzał się porucznikowi z nie ukrywaną niechęcią.

— To ja. O co chodzi?

— Przepraszam, jeśli przeszkodziłem panu w pracy. Chciałem prosić pana o chwilę rozmowy.

— Niech pan nie będzie taki dowcipny. Moja praca to nie pańska rzecz. O co chodzi?

— Mówiłem już panu. O chwilę rozmowy. Może zaprowadzi mnie pan do swojego biura. Myślę, że nie tutaj pan urzęduje.

— Dowcipas, cholera — bąknął pod nosem kierownik gramoląc się ze swego miejsca. — Przepraszam. Kochanie, zaraz wracam — zwrócił się do swojej towarzyszki i poszedł za porucznikiem na brzeg. Minął go i bez słowa skierował się w stronę swojego biura.

Zadra i Barnych, który podczas swojej poprzedniej wizyty tutaj nie zastał kierownika, w związku z czym nie miał okazji go poznać, poszli za nim.

— No, słucham panów"? Panowie ze skierowaniem? — zapytał już za biurkiem w swoim domku.

— Niezupełnie. Porucznik Zadra z Komendy Stołecznej MO. — Marcin okazał legitymację. — Chciałem uzyskać od pana kilka informacji a również poprosić pana o pomoc. Jeżeli zajdzie taka potrzeba oczywiście..

— Rozumiem. Słucham, czym mogę służyć? — kierownik przybrał poważny ton.

— Chodzi o Krzysztofa Matlarczyka. Jest tutaj zakwaterowany, prawda?

— Tak, ale o co chodzi?

— To chwilowo nieważne. Od jak dawna jest tutaj?

— Proszę poczekać. Muszę sprawdzić. — Wyjął z szuflady biurka zeszyt i przeglądał go przez chwilę. — Przyjechał 15 sierpnia. Miał być do niedzieli, ale zdaje się, że dzisiaj po obiedzie chciał już wracać.

— Czy pamięta pan poniedziałek 21 sierpnia? A właściwie noc z poniedziałku na wtorek?

— Nie, chyba nic. Wie pan, tutaj wszystkie dni są do siebie podobne. Chociaż... chwileczkę, poniedziałek dwudziestego pierwszego sierpnia, powiada pan? Chyba pamiętam. Zaraz sprawdzę — znowu zajrzał do zeszytu, tym razem innego. - Tak, zgadza się. Ma pan szczęście. Tego dnia był u nas akurat wieczorek taneczny. Nawet dość zabawnie było.

— Czy Matlarczyk był na tym wieczorku?

— Tak, był. Ale nic do końca. Wyszedł dosyć wcześnie, o dziewiątej czy może jeszcze wcześniej. Popłynął na ryby. Ma dosłownie bzika na tym punkcie. Codziennie jest na wodzie. Teraz chyba również.

— Nie wie pan, jak długo łowił?

— Dokładnie nie wiem, ale chyba całą noc. Jak się skończyła zabawa, było już koło drugiej, poszedłem jeszcze ze znajomą na spacer na molo; pamiętam, że jeszcze tam sterczał na tym swoim stałym miejscu pod trzciniami. Pamiętam, że noc była dosyć chłodna, to już jednak prawie koniec lata. Żartowaliśmy sobie nawet z Iwoną na ten temat, krzyknęliśmy chyba coś do niego, ale nie zwrócił na nas w ogóle uwagi. Nie usłyszał, albo udawał, że nie słyszy. Nawet się nie poruszył. Ma facet zdrowie. Całą noc na wodzie w taki ziąb.

— Czy ktoś łowił jeszcze tej nocy gdzieś obok?

— Tego już nie pamiętam dobrze. Ale niech pan porozmawia z Chlapoczem. Mirosławem Chlapoczem. To nasz dozorca. Też niezły wariat na punkcie ryb. Możliwe, że wypływał tej nocy; ale nie jestem pewny.

— No cóż, dziękuję panu bardzo. To na razie wszystko. Bardzo pana proszę o Rachowanie naszej rozmowy w tajemnicy. Gdzie mogę znaleźć tego Chlapocza?

— Pewnie kręci się gdzieś przy kuchni, koło żony.

— Dobre, mam nadzieję, że go znajdziemy. Aha. czy pani Iwona, z którą spacerował pan tamtej nocy po molo, to ta pani, która opalała się obok pana dzisiaj?

Janusz Szwadz uśmiechnął się z dumą.

— Nie, to jest pani Elżbietka. Z Warszawy. Do pani Iwony kilka dni temu dojechał mąż. Zdaje się, że pływają teraz na rowerze wodnym. Ale powinni zaraz przypłynąć. Wypożyczyli rower tylko na godzinę. Pan Paradziak, mąż pani Iwony, jest bardzo oszczędny — dodał z ironicznym uśmiechem.

Mirosław Chlapocz, dozorca ośrodka wczasowego „Szuwary” był niewysokim, przysadzystym, krzepkim starcem. Czerwony nos i charakterystyczny tembr głosu świadczyły wymownie o nie hamowanej specjalnie skłonności do mocnych trunków. Do Zadry odniósł się bardzo nieufnie i nie przejawiał początkowo ochoty na pogawędkę. Widocznie miał na sumieniu jakieś mniej lub bardziej drobne grzeszki i bał się, że rozmowa ich właśnie będzie dotyczyć. Ale porucznika ewentualne nieczyste sumienie Chlapocza zupełnie nie interesowało. Toteż gdy dozorca przekonał się, że chodzi jedynie o sprawozdanie z tamtej nocy, rozwiązał mu się wreszcie język. Owszem, był tego dnia na rybach. Mówił już przecież temu panu — wskazał na Barnycha. Nie, no oczywiście, że może jeszcze raz opowiedzieć, co mu tam... Była akurat zabawa i wczasowicze popili się jak zające. A i on przy okazji skorzystał. Poza tym miał tej nocy niezły połów. Trafiło się parę szczupaków a i okonków nie zabrakło. Nie można narzekać. Tym bardziej, że ten Matlarczyk niby taki rybak, tak się zawsze wymądrzał, a tej nocy raptem dwa okonki złapał i to takie nieduże, że w zasadzie nawet się na patelnię nie nadawały. Tak. całą noc łowili. Matlarczyk też. Do rana. Pamięta, bo nad ranem do wody wskoczył. Matlarczyk znaczy. A ziąb był jak jasna cholera. On był w kapocie i było mu zimno, a temu się pluskać zachciało. Dziwny jakiś... Później kaszłał cały dzień, ale mu przeszło. Chociaż następnej nocy już nie wypłynął. A dobra była noc, jeszcze lepsza niż poprzednia. Węgorze brały. Takie sztuki — pokazał jakie, rozstawiając szeroko dłonie. Nietrudno się było domyślić, że mocno przesadza. Zadra był również wytrawnym wędkarzem i wiedział, że takie węgorze trafiają się najczęściej w opowieściach rybaków. Na wędce znacznie rzadziej.

— Wygląda na to, że nic tu po nas, panie poruczniku — stwierdził Barnych. — Facet ma alibi jak drut. Mówiłem, że nic do ugryzienia. Chyba nic ma z nim nawet co gadać.

— Wygląda na to, że jak zwykle masz rację, Mareczku. Ale poczekajmy na niego. Chciałem przynajmniej zobaczyć, jak wygląda. Tyle się o nim nasłuchaliśmy.

— Może i racja. I tak zaraz obiad, to pewnie przyjdzie. A i my przy okazji możemy skorzystać. Mam nadzieję, że kierownik zaprosi. Prawdę mówiąc z przyjemnością bym coś przekąsił. Czuję się tak głodny, jakbym jadł bardzo wcześnie rano i do tego cholernie mało. O ile pamiętam, to tak właśnie było. Wszystko się zgadza, panie poruczniku. Najwyższy czas wrzucić coś na ruszt.

— Przesadzasz chyba. Człowiek może żyć bez jedzenia prawie trzy miesiące, a ty raptem parę godzin i już narzekasz.

— Może i może trzy miesiące. Tylko po co?

Wstawali właśnie od stolika, gdy Szwadz wskazał dyskretnie na wchodzącego na salę mężczyznę.

— O, jest właśnie pan Matlarczyk. Przebrał się już, widocznie zaraz po obiedzie ma zamiar wyjechać. Ma samochód, to nie musi czekać do wieczora na pociąg.

Zadra przyglądał się przez chwilę Makarczykowi. Był wysoki, dosyć szczupły ale szeroki w barach; Ubrany w welwetowe; znoszone spodnie i spłowieła już nieco kurtkę, nie wyróżniał się niczym specjalnym spośród wczasowiczów. Może tylko wąskie, mocno zaciśnięte wargi stanowiły bardziej wyrazisty rys w jego twarzy. Trudno byłoby jednak na podstawie wyglądu powiedzieć o nim cokolwiek. Nie był typem człowieka, który ma wypisany wyraźnie na twarzy charakter.

Wyszli ze stołówki i stanęli na małym placyku. Nie musieli długo czekać. Po kilku minutach Matlarczyk wyszedł. Przystanął niedaleko i spokojnie palił papierosa. Zadra podszedł do niego.

— Dzień dobry panu. Chciałbym zamienić z panem kilka słów.

— Słucham. O co chodzi?

— Porucznik Zadra z Komendy Stołecznej MO.

Matlarczyk uważnie przyjrzał się legitymacji porucznika. Nie sposób było dopatrzeć się w jego zachowaniu najłżejszych choćby oznak zdenerwowania czy zdziwienia.

— Prowadzę dochodzenie w sprawie śmierci Jerzego Stareckiego. O ile wiem, pan był jego dobrym znajomym.

— Myli się pan. Nie byłem dobrym znajomym Stareckiego. Nasze żony były siostrami. My prawie się nie znaliśmy. Od kilku lat nie utrzymywaliśmy ze sobą stosunków. Ostatni raz widziałem Stareckiego trzy lata temu na pogrzebie jego żony. Poza tym ten pan — wskazał na Barnycha — rozmawiał już ze mną w tej sprawie.

— Nie szkodzi, porozmawiajmy jeszcze raz. Wracając do rzeczy, czy przed śmiercią Ewy Stareckiej znaliście się panowie dobrze?

— Studiowaliśmy razem. Później pożenił się, z siostrami wprawdzie, ale widywaliśmy się bardzo rzadko.

— Podczas studiów ponoć przyjaźniliście się...

— Przesada. Mieszkaliśmy w jednym pokoju w akademiku. To wszystko.

— Czyli musiał pan jednak znać dobrze Stareckiego.

— Niezupełnie. Domyślam się, że chodzi panu o znajomość ze Stareckim z ostatnich lat. Ja znałem kiedyś, ponad piętnaście lat temu, młodego chłopaka, studenta. To był inny człowiek. Zwyczajnie. Czas zmienia ludzi. Ja też wtedy byłem innym człowiekiem, z którym teraz łączy mnie niewiele więcej niż nazwisko, i pan za kilkanaście lat będzie, być może, kimś zupełnie innym... Obawiam się, że nie potrafię wiele panu pomóc.

— Na to wygląda. Jeśli dobrze pana zrozumiałem, to stwierdził pan, że od trzech lat ani razu nie widział się ze Stareckim. Czy tak?

— Tak powiedziałem. Chociaż chwileczkę. Zupełnie mi wyleciało z głowy. Teraz dopiero sobie przypomniałem. Spotkałem go przypadkiem, jakiś miesiąc temu.

— O czym panowie rozmawiali?

— Prawie nie rozmawialiśmy. Spieszyliśmy się obaj, wymieniliśmy kilka konwencjonalnych zdań — to wszystko.

— No cóż. Dziękuję panu.

— Jak to? — Matlarczyk był wyraźnie zaskoczony — nie zapytał mnie pan nawet o alibi?

— To zbyteczne. Ale skoro pan nalega... To co, ma pan?

— Co?

— Alibi.

— Na kiedy?

— Na czas śmierci Stareckiego?

— A skądże ja mam wiedzieć, kiedy zginął Starecki?

— A co, nie powiedziałem panu?

— Nie.

— To bardzo dobrze. Jeszcze za wcześnie na ujawnianie wyników dochodzenia — stwierdził Zadra i machnąwszy na pożegnanie ręką, odszedł od skonsternowanego inżyniera.

Barnych, który nie przysłuchiwał się do końca ich rozmówię, czekał na molo. Zapatrzony na refleksy słońca na pomarszczonej łagodnym wiatrem tafli jeziora, nawet nic zauważył jego nadejścia.

— Prawda, że ładnie — usłyszał nagle nad uchem głos porucznika i wzdrygnął się.

— O! Jest pan już. szefie. I co teraz robimy?

— A co proponujesz?

— Bo ja wiem. Najchętniej posiedziałbym tu trochę. I tak nic już dzisiaj nie załatwimy. Do wieczora można by zostać — powiedział bez specjalnego przekonania chorąży, nie licząc na akcept porucznika. Ale ten po krótkim namyśle nieoczekiwanie wyraził zgodę.

— A wiesz, Marku, że to nie najgorsza myśl. Wypłyniemy sobie na jezioro. Rzeczywiście warto się trochę dotlenić; jak już nam się trafiła fucha, to trzeba korzystać. Pogadaj z kierownikiem i przygotuj łódkę, a ja zaproszę na przejażdżkę jeszcze jednego gościa.

Po chwili, gdy Barnych czekał już w łodzi przy wiosłach, przyszedł prowadząc ze sobą — niosącego kitka wędek — Chlapocza. Porucznik zajął miejsce na dziobie. Chlapocz zepchnął łódź do wody i odpłynęli.

— Myślę, że popłyniemy na to stałe miejsce Matlarczyka. jeżeli z niego taki wytrawny rybak.

— Jaki tam z niego rybak, to ja, panie oficerze nie wiem, ale jeżeli już mamy coś złowić, 'to ja poprowadzę. Znam miejsce gdzie chodzi ryba. Tam gdzie Matlarczyk. to nawet nie ma co kija moczyć — próbował oponować Chlapocz, ale Zadra się uparł. Prędko okazało się, że stary miał rację. Łowili na trzy wędkę i przez ponad godzinę na żadnej z nich nawet spławik nie drgnął. Chlapocz coraz wyraźniej dawał do zrozumienia, że dalsze sterczenie w tym miejscu zupełnie nie ma sensu, ale porucznik nie zwracał na niego w ogóle uwagi. Rozglądał się uważnie po niedalekim brzegu. W końcu polecił Barnychowi dopłynąć do okolonej sitowiem zatoczki. Tu wyskoczył na brzeg, a ich poprosił, by wrócili na swoje miejsce i czekali dopóki ich nie zawoła. W miejscu, w którym wysiadł, rósł rzadki, sosnowy las. Dopiero dalej, za polną, ale dosyć wygodną drogą przechodził w gęściejszy, mieszany. Pokręcił się chwilę między drzewami i poszedł nie śpiesząc się zbytnio w stronę ośrodka. Szedł lasem, trzymając się cały czas brzegu. Po niecałym kwadransie

stał już na drewnianym pomoście na przystani ośrodka. Zapalił papierosa i przyglądał się w cichym skupieniu czerwieni zachodzącego słońca. Widać stąd było dobrze łódkę, na której łowili Chlapocz z młodym chorążym. Na tle lasu rysowały się ich malutkie, nieruchome sylwetki. Zadra przydeptał zdecydowanym ruchem papierosa i szybkim krokiem zaczął wracać do miejsca, w którym wysiadł na brzeg. Zawołał na Barnycha. Po chwili siedział znowu na swoim miejscu, na dziobie łodzi. Okazało się, że jego nieobecność przyniosła towarzyszom szczęście. Złowili trzy zupełnie przyzwoite okonki i ślęczeli teraz wpatrując się z napięciem w spławiki. Toteż gdy porucznik zaproponował Barnychowi, żeby sobie trochę popływał wokół łodzi, spojrzeli na niego jak na człowieka, który niezupełnie jest przy zdrowych zmysłach. Chlapocz nie wytrzymał.

— Coś pan, ryby chcesz pan wszystkie wypłoszyć?!! I tak starczyło żeś pan przyszedł — już nie chcę brać. Zdecyduj się pan. albo łowimy, albo w klipę gramy, jak Boga kocham.

Stary był najwyraźniej zdenerwowany. Zadra roześmiał się serdecznie.

— Niech pan się nie denerwuje, panie Chlapocz. Nie ma o co, żartowałem tylko. A poza tym i tak nie ma sprawy, bo musimy już wracać. Trochę późno się już zrobiło.

Ale stary nie dał się udobruchać. Przez całą drogę powrotną siedział naburmuszony nie odzywając się ani słowem.

— No, panie Chlapocz, dziękuję bardzo za pomoc. I niech się pan już nie gniewa na mnie za to zepsute wędkowanie. Mam do pana jeszcze jedno pytanie: jak głęboko jest w tym miejscu, w którym łowiliśmy?

— Oj, panie oficerze, tam głębia, blisko brzegu ale woda głęboka. Spadek duży. Z piętnaście metrów będzie, może nawet dwadzieścia.

— Ale więcej jak dwadzieścia nie ma?

— Nie. więcej to nie ma na pewno. Ale to i tak głębia, panie oficerze, wielka głębia.

— Dziękuję panu bardzo raz jeszcze i do widzenia.

Zaczynał się długi, łagodny, letni zmierzch. Wracali do Warszawy w milczeniu, zaprzątnięci każdy własnymi myślami. Wiatr ustał już zupełnie. W lesie panowała absolutna niemal cisza.

Grupa nurków i innych członków ekipy przygotowywała się na brzegu jeziora, otoczona podekscytowanym tłumem wczasowiczów. Nurkowie mieli już na sobie kombinezony z przytroczonymi z tyłu butlami tlenowymi. Za chwilę mieli wejść do łodzi, która czekała już z dwoma barczystymi młodzieńcami przy wiosłach i chorążym Barnychem za sterem. Przyjechał on razem z Zadrą kilka godzin przed resztą, aby przygotować wszystko. oznaczyć dokładnie miejsce na jeziorze, porozmawiać raz jeszcze z kierownikiem Szwadzem i dozorcą ośrodka Mirosławem Chlapoczem. Siedział teraz w łodzi i niecierpliwiał się coraz bardziej. Był tak przejęty prowadzoną grą i swoim w niej udziałem, że aż dostał wypieków i zupełnie nie mógł usiedzieć na miejscu. Po Zadrze natomiast trudno byłoby domyślić się najlżejszych choćby oznak niepokoju czy zdenerwowania, mimo że ważyły się być może losy całej jego kariery. Stał spokojnie obok majora Stępaka i prokuratora i z niewzruszoną twarzą przyglądał się przygotowaniom. Kiedy łódź wypłynęła wreszcie, poszedł do stojącego obok Matlarczyka, pozostającego pod dyskretną opieką sierżanta Kowalskiego.

— Pan pozwoli ze mną. Wy też, sierżancie. Poszedł przodem nie oglądając się za siebie. Za nim w odległości kilku kroków szli sierżant i Matlarczyk. Zadra poprowadził wijącą się wzdłuż brzegu jeziora dróżką do znajdującego się na przeciw leżym brzegu ośrodka wczasowego. Wszedł na pomost, doszedł do jego końca i usiadł spuściwszy nogi nad samą tafelę jeziora.

— Proszę, niech pan siada — zwrócił się do Matlarczyka, wskazując mu miejsce obok siebie na pomoście. — A wy sierzancie, bądźcie gdzieś tutaj w pobliżu. Dobrze?

— Tak jest — sierżant wyprężył się służbiście i zaczął przechadzać się miarowym krokiem po molo. Przez cały czas rozmowie ich towarzyszyć miał monotony stukot jego obcasów.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu przypatrując się rysującym się w oddali sylwetkom nurków, szykujących się do zejścia do wody.

— Czy tam właśnie stała na wodzie pańska łódź tamtej nocy?

— Której nocy?

— Już raz pan zadawał to pytanie. W nocy z dwudziestego pierwszego na dwudziestego drugiego sierpnia.

— Nie pamiętam. Musiałbym sobie przypomnieć.

— To niech pan sobie przypomni. To ważne. Dla pana również, panie Matlarczyk.

— Tak. Myślę, że mniej więcej tam.

— To dobrze, że pan sobie przypomniał, bo wie pan. Świadkowie mają czasami zadziwiająco dobrą pamięć. A wracając do tamtej nocy to proszę mi dokładnie opowiedzieć jej przebieg.

— Jak pan wie, tej nocy była w ośrodku popijawa pod pretekstem wieczorku za poznawczego Nic bawiło mnie to. nie lubię alkoholu. Wypłynąłem na ryby. Łowiłem do świtu. Potem poszedłem spać. To wszystko.

— Nic pytałem pana o alibi, które pan sobie przygotował, ale o prawdziwy przebieg tej nocy.

— Tak było naprawdę. Myślę, że mogą to potwierdzić świadkowie — Matlarczyk nie zdradzał żadnych oznak niepokoju. Był opanowany i zdawał się być pewnym siebie. Obserwującemu tę rozmowę wydawać by się mogło, że to dwóch znudzonych wczasowiczów prowadzi leniwą pogawędkę na deskach postu.

— O co właściwie jestem oskarżony, panie poruczniku?

— Jeszcze nie jest pan oskarżony, chociaż sędzę, że pan będzie. Na razie jest pan podejrzany. Podejrzany o zabójstwo Jerzego Stareckiego, zamieszkałego w Warszawie przy ulicy Notariuszowskiej. dokonane w nocy z dwudziestego pierwszego na dwudziestego drugiego sierpnia 1977 roku — czyli o zbrodnię w rozumieniu artykułu 148 Kodeksu Karnego.

— Rozumiem. Czy jestem aresztowany?

— Jest pan zatrzymany. Sędzę, że jeszcze dziś — zostanie panu doręczone postanowienie prokuratora o zastosowaniu aresztu tymczasowego. Wracając do sprawy, do tamtej nocy — czy przedstawi mi pan prawdziwy przebieg wypadków?

— Powiedziałem już wszystko.

— No cóż, w takim razie ja panu opowiem, jak to się wszystko rozegrało. Gdybym się pomylił, proszę mnie poprawić.

Matlarczyk wzruszył ramionami. Siedział wpatrzony w wodę i zdawało się, że nic docierają do niego słowa porucznika. Ale ten widział, że docierają i to bardzo wyraźnie.

— Nienawidził pan Stareckiego od chwili, gdy odbił panu Ewę. Nienawidził tak bardzo, jak tylko człowiek potrafi nienawidzić. Myślę, że przerodziło się to w rodzaj obsesji, ale na ten temat wypowiedzą się już psychiatry... Równocześnie nie przestał pan kochać jej. Kiedy popełniła samobójstwo, postanowił pan pomścić jej śmierć. Uprzedził pan o tym Stareckiego na pogrzebie jego żony. Myślę, że później przypominał mu pan o tym od czasu do czasu. Starecki spodziewał się śmierci. Jak się okazało, miał podstawy. Przyznaję, że zaplanował pan wszystko niemal genialnie. Przyjechał pan tutaj. Krytycznej nocy wypłynął pan na jezioro, przybył na miejsce, na którym łowił pan zawsze, do którego zdążył pan już ludzi przyzwyczać. Fakt, że tej nocy odbywało się przyjęcie, jeszcze mu pomógł. Ludzie szwendali się i widzieli pana, jak najspokojniej w świecie łowi pan ryby. Tyle, że to nie był pan. Przygotował pan wcześniej manekin, odpowiednio go przystroił i to jego właśnie sylwetkę widzieli wczasowicze i Chlapocz. Dlatego właśnie tak marny miał pan połów tej nocy. Pan tymczasem podpłynął cicho do brzegu, doszedł do ukrytego w krzakach samochodu i pojechał do Warszawy. Sądzę, że zadzwonił pan do Stareckiego, upewnił się, że jest w domu i to sam. Wszedł pan do willi — z tym nie miał pan kłopotu, gdyż noc była parna i okna w sypialni były otwarte na oścież — zabił Stareckiego, splądrował mieszkanie, by sprawić wrażenie morderstwa na tle rabunkowym, zabrał rzeczy do znalezionej u Stareckiego plecaka i odjechał. Po drodze zatrzymał się pan za Zegrzem i wyrzucił plecak ze skradzionymi przedmiotami do zalewu.

Matlarczyk oderwał wzrok od wody i rzucił szybkie spojrzenie na Zadkę.

Nie wiedział, że mamy już te rzeczy — pomyślał Zadra i dalej kontynuował swój wywód.

— Szczęście panu dopisywało. Nie miał pan awarii, nie zatrzymała pana „drogówka”. Wrócił pan nad jezioro, dopłynął do łodzi, upewnił się, że nikt nie patrzy w stronę pańskiej łodzi, zresztą poza Chlapoczem nikogo już wokół nie było. Dochodziła czwarta rano, ludzie odsypiali wczorajszą zabawę; wyrzucił pan manekin do wody i po chwili sam zaczął się pan pluskać, starając się robić to jak najgłośniej. Wszedł pan z powrotem do łodzi, ubrał się i przez jakiś czas dalej pan łowił. I to był pana drugi błąd. Zupełnie niepotrzebny. Przedobrzył pan. Trzeba było od razu po kąpieli wracać do przystani. Który wędkarz kąpie się na terenie własnego łowiska? I to, gdy ma jeszcze zamiar dalej łowić. Prawda?

Matlarczyk nie zareagował na to półretoryczne pytanie.

— No, to już niemal wszystko. Muszę panu przyznać, że ma pan rzeczywiście stalowe nerwy. Nie wyjechał pan od razu z ośrodka, ale jak gdyby nigdy nic kontynuował pan wczasy. No cóż, czy tak to mniej więcej wyglądało?

— Już mówiłem panu, jak to wyglądało. Historia, którą mi pan opowiedział jest, owszem, interesująca, ale niestety nieprawdziwa. Obawiam się też, że nie ma pan na jej poparcie żadnych dowodów.

— Słyszał pan zapewne o korzyściach, płynących ze szczerego przyznania się do winy. W obecnej sytuacji uzupełnienie materiału dowodowego jest tylko kwestią czasu i techniki, a muszę panu zapewnić, że mamy znakomitych specjalistów, a i czasu nie powinno zabraknąć. Radzę się panu zastanowić... tym bardziej, że jeden dowód — i to najistotniejszy — już zdaje się mamy — dodał wskazując na nurków, holujących do brzegu jakiś przedmiot. Matlarczyk podążył wzrokiem za jego ręką, ale nie odpowiedział, choć wiadać było, że tracił swoją pewność siebie. Nadal był opanowany, lecz kropelki potu na jego czole, twarzy i dłoniach dowodziły, jak wiele go to kosztuje wysiłku.

— Chodźmy zobaczyć, co też tam wyłowili nasi dzielni nurkowie.

Znów szli w milczeniu przez las. Zadra przodem, a Kowalski z Matlarczykiem kilka kroków za nim. Pociemniało. Ogromna ciężka chmura, czająca się od wielu godzin na wschodzie, pochłonęła nagle słońce i w starym, liściastym, wilgotnym lesie zapanował nieprzyjemny półmrok. Powietrze było Bstte i jakby naładowane elektrycznością. Mathr-czykiem wstrząsnął mimowolny dreszcz. Przyśpieszył kroku. Flegmatyczny jak zawsze Kowalski położył mu statecznym, opiekuńczym niby gestem swą ciężką dłoń na ramieniu. Zrównali krok. Kiedy doszli do zatoczki, wyłowiony z jeziora przedmiot spoczywał już na brzegu. Z odległości kilkunastu kroków, jakie ich jeszcze od niego dzieliły, wygląda! jak oplataný wodorostami i potwornie zniekształcony kadłub człowieka.

— Poznaję pan? zapytał Zadra wskazując ręką manekin.

Matlarczyk nawet nie spojrział w tym kierunku. Zwiesił głowę i przybierając pełną rezygnacji postawę rzucił szybkie, taksujące spojrzenie na Zadrę i Kowalskiego.

— Niech pan nie próbuje uciekać. To bez sensu. Nie ma pan żadnych szans. Nie chciałbym, żeby brzmiało to jak przechwałka, ale zapewniam pana, że jestem szybszy. Zresztą gdybym nie był. też by pan daleko nie uciekł. Przecież pan wie. Niech pan zakończy tę grę po męsku. Tylko to jeszcze panu zostało.

Przez jakiś czas Matlarczyk trwał w milczeniu w nic zmienionej pozie, po czym podniósł głowę, wyprostował się, spojrział Zadrze prosto w oczy.

— Ma pan rację. Przyznaję się. Zabiłem go. Gdybym miał teraz zacząć wszystko od początku, też bym się nie zawahał. Ja już swój rachunek wyrównałem. Reszta mnie nie interesuje. Mnie już i tak nie ma. Nie istnieje. Moje życie skończyło się tamtej nocy.

— Myślę, że powtórzy pan swoje wyznanie prokuratorowi.

— Jestem do pańskiej dyspozycji, panie poruczniku.

Na stoliku, przykrytym białą lnianą serwetką paliła się wetknięta w butelkę po bułgarskim winiaku świeczka. Maria obserwowała jej płomień poprzez mieniące się w wysokiej szklance czerwone wino.

— Wiesz — powiedziała cicho, patrząc łagodnie na Marcina — dopiero tydzień mieszkam w lej twojej kawalerce, a już zdążyłam się do niej przyzwycząić. Polubiłam ją nawet... Chociaż trzeba tu jeszcze bardzo dużo zmienić — dodała po chwili wojowniczym nieco tonem.

— Nie ma sensu.

— Dlaczego?

— Bo to już koniec. Osłupiała.

— Czego koniec? — zapytała przestraszona.

— Naszego pobytu tutaj.

— Dlaczego? — wpatrywała się z niepokojem w twarz Marcina.

— Bo dostałem przydział na mieszkanie. M-4, prawie siedemdziesiąt metrów. Jest jeszcze tylko do załatwienia mała formalność...

Jej oczy zamieniły się w dwa ogromne znaki zapyłania.

— Muszę się przedtem ożenić. Czy zechcesz zostać panią kapitanową?

Bez słowa rzuciła mu się w ramiona.

Mogli kontynuować rozmowę dopiero po dłuższej chwili leżąc już na kanapie i zachłannie zaciągając się papierosami.

— No i nie odpowiedziałaś mi w końcu...

— Bo jestem dobrze wychowana i nie mówię, gdy mam zajęte usta -- odpowiedziała rumieniąc się i wpychając mu głowę gdzieś pod pachę.

Przytulił ją mocno. Oswobodziła się po chwili i usiadła przybierając subtelnie zdecydowany wyraz twarzy.

— Ale ślub weźmiemy w Sopocie, prawda?

— Oczywiście, kochanie. Jak sobie życzysz. Wezmę tydzień urlopu. Przy okazji odbędziemy naszą podróż poślubną i miodowy tydzień. Tylko żeby nie trzeba było zbyt długo czekać. Nie mamy wiele czasu.

— Ja to załatwię -- odpowiedziała zdecydowanie i na powrót przytuliła się do niego.

Szykowali się już do snu. kiedy przerywając ścilenie łóżka zapytała:

— Wiesz, cały czas wydawało mi się, że w tej historii, którą wczoraj opowiadałeś, nie wszystko jednak układało się tak ładnie, jak to przedstawiłeś i teraz sobie przypominałam. Skąd mogłeś mieć pewność, że nurkowie odnajdą ten manekin? Od tamtej nocy minęło przecież sporo czasu, a do tego mówiłeś, że było tam bardzo głęboko.

Zadra roześmiał się.

— A co, nie mówiłem ci?

— Nie.

— Po prostu. Przyjechałem tam wcześniej z Barnychem i przywieźliśmy manekin ze sobą. Przybraliśmy go odpowiednio wodorostami i wrzuciliśmy do wody. Zdaje się, że już ci kiedyś mówiłem, że nie lubię niepotrzebnego ryzyka.

Roześmieli się oboje serdecznie.

— Wyobraź sobie, że nurkowie wyciągnęli ten prawdziwy, Matlarczyka, a ten mój jakby się zapadł pod ziemię. Byłem ciekaw, co się z nim stało i kazałem jeszcze szukać, ale nawet śladu po nim nie zostało, rozplynął się w tej wodzie, czy go ryby zjadły — nie mam pojęcia. A tyleśmy się nad nim z Barnychem nabiedzili, żeby dobrze wyglądał. I pracuj tu solidnie, człowieku...

